



**DeAnna Talcott**

*Do samego nieba*

*Z cyklu Bratnie Dusze*

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Niech to szlag!

Chase Wells oparł się ciężko o ścianę stajni, zgięty wół z bólu. Minęła dobra chwila, zanim wyprostował się z powrotem i odważył się poruszyć nogą. Na jego twarzy pojawił się bolesny grymas. Zaklął szpetnie.

Nagle wydało mu się, że słyszy głos matki:

- Chase, nie wyrażaj się!

Z całej siły zacisnął zęby. Nie podda się tak łatwo. Całe życie spędził na tym ranczu i dostał niezłą szkołę. W wieku siedmiu lat wypadł ze skrzyni jadącego pikapu, jako dwunastolatek wywrócił się z traktorem, gdy skończył siedemnaście lat, byk wziął go na rogi, gdy miał dwadzieścia trzy lata, niemal się utopił, próbując przepłynąć na koniu przez wezbrany potok - a teraz miałyby mu dać radę byle czteroletnia klacz? Niedoczekanie! Okiełzna ją, choćby padł przy tym trupem!

Ta mała Peggy Sue była istną diabolicą. Jej mamusia, najwspanialsza klacz na całym ranczu, przeskoczyła kiedyś ogrodzenie i pognała za dzikimi mustangami. Kiedy Chase odnalazł ją po miesiącach poszukiwań, towarzyszyło jej źrebie, które wyraźnie odziedziczyło nieposkromiony charakter tatusia.

Uśmiechnął się krzywo. Nie dalej jak wczoraj Peggy Sue tak go kopnęła, że ledwo się pozbierał, a przedwczoraj próbowała zmiażdżyć

mu rękę zębami. Na dzisiaj miał dosyć. Wyszedł z boksu, zatrzasnąwszy za sobą mocną furtę z grubych desek, a Peggy Sue na pożegnanie wściekle walnęła w nią tylnymi kopytami. Nawet się nie obejrzał. Nie da jej tej satysfakcji.

Ściągnął skórzane rękawice, wepchnął je do tylnej kieszeni dżinsów i utykając, wyszedł na podwórze. Noga dokuczała mu coraz bardziej. Czy nie robił się za stary na takie harce? Miał trzydzieści cztery lata i kuśtykał jak staruszek.

Nagle usłyszał warkot silnika. Obejrzał się w stronę niskiego, obszernego domu zbudowanego z drewnianych bali i ujrzał przed werandą absolutnie wystrzałowy czerwony kabriolet. Ale nie dlatego oniemiał z wrażenia.

Peggy Sue musiała go kopnąć mocniej, niż mu się wydawało. Chyba rzeczywiście padł trupem i od razu znalazł się w niebie, bo za kierownicą kabrioletu siedział anioł.

Wbrew oczekiwaniom Chase'a anioł nie wyfrunął z samochodu, tylko wysiadł w normalny sposób. Widać nie wziął ze sobą skrzydeł, ale miał za to długie blond włosy, przylegającą do ciała białą bluzeczkę, oszłamiająco seksowne dżinsy, pomalowane na czerwone paznokietki i przyjaźnie machał mu ręką.

Chase ruszył w stronę niezziemskiego zjawiska, starając się zapomnieć o bólu i nie kuleć za bardzo.

- Dzień dobry! Mam nadzieję, że dobrze trafiłam. Pan Chase Wells, prawda?

- Tak. - Skinął głową na powitanie.

Nie pojmował, co taka kobieta może robić w takiej zapadłej dziurze, jaką było Horseshoe Falls w Wyomingu. Od samego patrzenia na nią można było zapomnieć języka w gębie. Nieskazitelna cera, eleganckie ruchy, pewność siebie, sposób mówienia zdradzający przynależność do wyższych sfer. I te niewiarygodnie niebieskie oczy, niebieskie jak dwa szafiry.

Uśmiechnęła się, a wtedy Chase naprawdę zapomniał o bólu. Widział jedynie wilgotne, bardzo różowe i ślicznie uśmiechające się usta, które z pewnością potrafiły wspaniale całować.

Jak to się mówi? „Daj, pocałuję, nie będzie bolało”. O tak, Chase miał dużo obolałych miejsc, które - spełniając dobry uczynek - mogłaby pocałować...

- Witam - powiedziała piękna nieznajoma, wyciągając rękę. - Nie ma pan pojęcia, jak trudno tu trafić. Źle skręciłam i błąkałam się po jakichś wertepach.

Gdy poczuł dotyk jej długich palców, pomyślał, że to bardziej pieszczota niż uścisk dłoni.

- Jestem Mallory Chevalle. Zabrzmiało to trochę znajomo.

- Bardzo tu ładnie u pana - stwierdziła, patrząc ponad jego ramieniem na łańcuch gór otaczający malowniczą, zieloną dolinę rozciągającą się za domem. - To nie wygląda jak zwykłe gospodarstwo, tylko jak miejsce, gdzie można spędzić wspaniałe wczasy. Nie mam pojęcia, jak pan daje radę tu pracować. Gdybym tu mieszkała, co rano siodłałabym konia i przez cały dzień jeździła po okolicy.

Zerknął na jej diamentowe kolczyki i bransoletkę.

- Praca na ranchu to nie wypoczynek, proszę pani.
- Wiem. Widziałam pańskie konie na pokazie w Kalifornii.

Jestem pod wrażeniem. Pomyślał, że była raczej pod wrażeniem jego wspólnika, Boba Llewelyna, który zawiózł konie na ten pokaz.

- Chciałam kupić konia, ale pański wspólnik powiedział, że na miejscu znajdę coś ciekawszego i dlatego przyjechałam. Podobno ma pan półkrwi mustanga?

Chase łypnął w stronę stajni. Na pewno nie dopuści takiej kobiety w pobliże tej wariatki Peggy Sue.

- A czego konkretnie pani szuka?

Zawahała się.

- Najpierw wolałabym się rozejrzeć. Nie mógłby mi pan pokazać, co pan ma?

Zmierzył ją podejrzliwym spojrzeniem. Poważni nabywcy zawsze wiedzieli, czego potrzebują - wszystko jedno, czy chodziło o kucyka dla dziecka, czy o klacz wyścigową, czy o reproduktora. A ta kobieta przejechała setki kilometrów tylko po to, żeby się rozejrzeć...

Teraz i ona popatrzyła na niego badawczo. .

- Przecież czekał pan na mnie, prawda?

Serce mu zadrżało. Nonsens, to nie serce, tylko telefon komórkowy, który nosił w kieszonce na piersi i który zawsze był nastawiony na wibracje, a nie na sygnał dźwiękowy, żeby nie płoszyć koni.

Wyciągnął telefon i spojrzał na wyświetlacz.

- Przepraszam na chwilę. Cofnął się o krok i odwrócił.

- Cześć, Bob.
- Stary, zapomniałem cię uprzedzić, że jedzie do ciebie Mallory Chevalle, wiesz, córka tego armatora Hewitta Chevalle'a, o którym mówią, że śpi na złocie. W posiadłości na wyspie Narwhal mają niezłą stadninę, Mallory chce coś do niej kupić. Jak przyjedzie, zajmij się nią, ugość przez parę dni...
- Już przyjechała - oznajmił chłodno Chase.
- O - zająknął się Bob. - A u ciebie pewnie niezły bałagan?
- A coś ty myślał? - warknął Chase. - To nie hotel! Bob zakasłał nerwowo.
- Wybacz, stary, nie chciałem ci zrobić kłopotu. Ale widzisz, pomyślałem sobie, że przydałby się nam klient, który nie liczy się z kasą. Ona ma forsy jak lodu, łyknie każdą cenę i nie będzie kręcić nosem, że drogo.
- Słuchaj, mam tu czterdzieści koni i roboty po uszy! - syknął Chase. - Nie mogę czekać, aż ona raczy wstać w południe. Nie mam czasu grać z nią w tenisa i zajmować się sprowadzaniem dla niej kawioru i francuskiego wina!
- Mylisz się, Mallory nie jest rozkapryszoną damulką. Jest zupełnie normalna, w dodatku naprawdę lubi konie. Wcale nie musisz przy niej skakać. Raczej zagoń ją do roboty, zobaczysz, że będzie uszczęśliwiona.
- Akurat! - prychnął Chase.
- Sam się przekonasz. To bardzo fajna dziewczyna. Zadbaj o nią. Jeszcze mi podziękujesz.

Chase z rezygnacją machnął ręką, zakończył rozmowę i odwrócił się do nieoczekiwanego gościa. Mallory taktownie stała parę kroków dalej, rozglądając się po okolicy. Teraz przeniosła na Chase'a nieco rozbawione spojrzenie.

- Czyżby Bob o niczym pana nie uprzedził?

Nie miał pojęcia, ile usłyszała. Pożałował, że nie był bardziej powściągliwy.

- Dobra pamięć nie jest jego najmocniejszą stroną. Nic nie wiedziałem o pani przyjeździe, panno... Chevalle.

- A nie lepiej, żebyśmy po prostu mówili sobie po imieniu?

Sztywno skinął głową, nagle nieufny i pełen dystansu.

- Narwhal... To gdzieś koło Monaco? - rzucił z kwaśną miną.

- Niedaleko. W każdym razie po tamtej stronie oceanu. - Z trudem powstrzymała uśmiech.

Zawsze bawili ją ci Amerykanie, którzy w każdym bogatym Europejczyku wietrzyli zadzierającego nosa arystokratę i natychmiast zaczęli ostentacyjnie okazywać, że wyrafinowanie i zamożność nie robią na nich wrażenia. Oczywiście, nie wszyscy byli pełni uprzedzeń, ale teraz trafiła akurat na takiego. Naszła ją nagła chęć, żeby dać mu małą nauczkę.

- Czy mi się wydawało, czy wspomniałeś coś o tenisie? Z przyjemnością bym zagrała.

Popatrzył na nią kamiennym wzrokiem, a na jego pociągającej twarzy nie drgnął nawet jeden mięsień.

Trzeba przyznać, że na bardzo pociągającej twarzy. Był smagły,

miał wyraziste, męskie rysy, włosy czarne jak u Indianina i stalowoszare oczy. Prawy kącik jego ust znajdował się ciut wyżej niż lewy, co dodawało mu zawadiackiego uroku.

- O ile dobrze zrozumiałem, chodziło ci o kupno koni - przypomniał nieufnie.

Mallory zrobiła doskonale niewinną minę.

- Tak, ale tenis świetnie redukuje stres.

Chase odetchnął głęboko - co zwróciło jej uwagę na jego szeroki, pięknie sklepiony tors - i zatknął kciuki za szeroki skórzany pas.

- Tu jest Wyoming. Tu się pracuje, a nie traci czas na bzdury!

Nie wytrzymała i w końcu wybuchnęła śmiechem.

- To świetnie się składa, bo od lat nie grałam, więc miałabym marne szanse. I nie jadam kawioru. Nie wstaję także w południe, bo szkoda mi dnia. Też wolę pracować niż tracić czas.

Chase zawahał się, po czym też się uśmiechnął, choć znacznie ostrożniej. Mallory postanowiła kuć żelazo póki gorące.

- Bob powiedział, że mogłabym tu zostać przez jakiś tydzień, żeby dokładnie ocenić konie i wybrać odpowiedniego. Oczywiście nie chcę być ciężarem, chętnie to odpracuję. I uczciwie zapłacę.

Chase nie wyglądał na przekonanego.

- Mogę spać gdziekolwiek, wystarczy mi byle łóżko czy choćby materac.

- Hm... - Z powątpiewaniem pokręcił głową.

- Obiecuję, że nie będę przeszkadzać.

- Nie jestem hotelarzem, tylko hodowcą koni - powtórzył z



uporem.

- No właśnie, a ja chcę kupić konia dla mojego ojca! To musi być coś wyjątkowego, coś specjalnego, dlatego potrzebuję trochę czasu, żeby się rozejrzeć i dobrze wybrać - kłamała Mallory. Doskonale wiedziała, czego chce, ponieważ Bob opowiedział jej o niezwyklej klaczy. Mallory koniecznie musiała zawieźć ją do domu, do ciężko chorego ojca. Miała na to rozpaczliwie mało czasu. - Tylko tydzień, nie więcej, daję słowo! Nawet jeśli nie wybiorę czegoś dla taty, to i tak potrzebuję paru łagodnych koni dla dzieci. Organizujemy u siebie charytatywne obozy jeździeckie. Wyraz jego twarzy nieco złagodniał.

- Nie sprawię ci żadnego kłopotu - zapewniła gorąco.

- Mogę nawet spać w baraku z pracownikami.

Zachnął się.

- Jasne, już widzę, jak pijesz z chłopakami piwo i rzniesz w karty do północy! - Ze znużeniem przeciągnął dłonią po twarzy. - Słuchaj no, Mallory. Doceniam, że chcesz ucieszyć tatę fajnym prezentem i zrobić coś dla biednych dzieciaków, ale nigdy nie dam konia w niesprawdzone ręce. Ja o moje konie dbam! Nie sprzedaję ich byle komu.

Zesztywniała. Duma nakazywała jej odwrócić się na pięcie i odejść, ale nie mogła tego zrobić. Musiała zobaczyć tę klacz, o której mówił Bob, a to oznaczało konieczność przełknięcia urazy.

- Nie jestem byle kim - oznajmiła zimno. - Jestem Mallory Leatrice Chevalle z Narwhalu, mam jedną z najlepszych stadnin na świecie i jestem znaną amazonką. - Uczyniła efektowną pauzę. -

Mówiąc twoim językiem, jestem baba-kowboj. - Spostrzegła z satysfakcją, że mięsień na policzku Chase'a zadrgał wyraźnie. - Znam się na koniach. Możesz sprawdzić. Okiełznam najdzikszego, jakiego tu masz.

W jego oczach zamigotało zainteresowanie.

- Śniadanie o szóstej rano i ciężka praca do wieczora - rzucił szorstko. - Żadnych frykasów, żadnych wygod, żadnej taryfy ulgowej. Zaczynamy dziś po południu. Pokażę ci kilka koni z charakterem, skoro takie lubisz.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Mallory pochyliła się, żeby wyjąć z samochodu walizki, a Chase nie mógł oderwać wzroku od jej apetycznych kształtów. To była naturalna męska reakcja, ale wściekł się na siebie.

Nie miał pojęcia, czemu zgodził się na ten idiotyzm. Może ze względu na wspomnienie o Skylar. Odkąd stracił córkę, częściej niż kiedyś zastanawiał się nad tym, co jest ważne w życiu. Jeśli ta panna rzeczywiście pomagała jakimś dzieciom, czemu nie miałby przyłożyć do tego ręki.

Gdy Mallory wyprostowała się, dźwigając dwie walizki, ruszyło go sumienie. Chyba nie był dla niej zbyt miły. Ale przecież miał co innego do roboty niż niańczenie bogatej jedynaczki! Naprawdę, gdy

wstawał dziś rano z łóżka, mógł się spodziewać różnych rzeczy, ale nie tego, że będzie dyskutował z dystyngowaną Europejką o... spaniu. Co to w ogóle za pomysł, żeby spała w baraku? To jakby położyć niewinną Królową Śnieżkę wśród nieokrzesanych kowbojów, syjących sprośnymi żartami i plujących na podłogę! Nie mógł przecież na to pozwolić. Niby nie chciała sprawiać kłopotu, lecz tak czy siak musiał o nią jakoś zadbać...

- Daj, pomogę ci - burknął nieco opryskliwie.

Zaprotestowała z uśmiechem, ale wyrwał jej walizki z rąk i ruszył w kierunku domu. Wszedł pierwszy, gwałtownie otwierając drzwi ramieniem. Mallory starała się nie zwracać uwagi na jego zły humor.

- Jak tu przytulnie! - zawołała z niekłamanym zachwytem, ogarniając spojrzeniem belkowany sufit, kominek z polnych kamieni i podłogę z desek.

- Pewnie tak wyglądają wasze domki myśliwskie - skomentował kąśliwie.

- Na wyspie Narwhal nikt nie poluje - odparła z ogromną powagą. - Jesteśmy znani z przyjaźni do zwierząt. Istnieje legenda, że wiele wieków temu na wyspie został schwytany... pewien dziki koń, bardzo wyjątkowy, ale jeden wieśniak ulitował się nad nim i uwolnił go z narażeniem własnego życia. Koń odwdzieczył się, obdarzając cały ród wybawcy zdrowiem i szczęściem. Od tej pory mieszkańcy wyspy kochają zwierzęta i darzą je szacunkiem - zakończyła, nie spuszczać z Chase'a spokojnego, pełnego godności spojrzenia.

- Co ja tam wiem o waszych zwyczajach... - wymruczał, czując się dość niezręcznie, i szybko poprawił nogą jeden z krzywo leżących dywaników.

Cała podłoga była nimi zasłana, bo bardzo je lubił. Wszystkie czarno-czerwone, ręcznie tkane przez Nawajów. Mebli było niewiele, przepastna, wygodna kanapa, ręcznie robiony drewniany stół i kilka krzeseł. Mallory przesunęła dłońią po oparciu jednego z nich.

- Piękne. To pewnie lokalny wyrób? Macie tu wspaniałych artystów.

Wzruszył ramionami.

- Eee, nic specjalnego, kupiłem je w pierwszym lepszym sklepie. Nie zdziwiłbym się, gdyby miały naklejkę „Made in China”.

Podniosła na niego uważne spojrzenie.

- Chase, tu naprawdę jest bardzo ładnie. A jeśli osiągnąłeś taki efekt w sposób niezamierzony, to mój podziw jeszcze wzrasta, bo to znaczy, że masz wrodzony dobry smak.

Jej takt i klasa zawstydziły go. Poczuł się jak ostatni prostak. Odkąd stracił Skylar, a Sharon odeszła, zrobił się drażliwy i nieprzyjemny dla ludzi, ale przecież ta dziewczyna nie była niczemu winna. Musi przestać na nią warczeć i zacząć zachowywać się jak cywilizowany człowiek.

- Dzięki - wydusił z siebie. - Urządziłem wszystko od zera. Dom, w którym się urodziłem, spalił się dziesięć lat temu.

- Och, tak mi przykro. To musiało być dla ciebie bolesne doświadczenie.

- My tutaj nie roztkliwiamy się nad sobą. Trzeba było się podnieść z popiołów... jak Feniks.

Mallory ożywiła się, jej oczy rozbłysły

- Uwielbiam opowieść o Feniksie! W ogóle uwielbiam legendy. To nie są żadne bajki, jest w nich więcej mądrości, niż mogłoby się wydawać. W każdej tkwi ziarno prawdy. Ktoś, kto uważnie słucha takich historii, z czasem w nie uwierzy, a jeśli uwierzy... może zostać nagrodzony...

Postawił walizki na podłodze.

- A ty wierzysz?

Odpowiedziała mu tajemniczym uśmiechem, ale nie naciskał, tylko wskazał na widok z okien.

- Co do tutejszego Feniksa, to odrodził się w piękniejszym kształcie. Przedtem stąd widać było garaż, a teraz góry.

- Szkoda, że ja nie mogę przebudować mojego rodzinnego domu. Widok z okien mam wprawdzie ładny, ale sam dom jest mało przytulny, a ja lubię mieć wokół siebie coś ciepłego, przyjaznego...

Moje ramiona byłyby w sam raz, pomyślał zniechęcony. I nagle poczuł bez cienia wątpliwości, że byłoby im razem dobrze.

Przerażony swoimi myślami, pospiesznie schylił się po walizki. To nie prowadziło do niczego dobrego! Od dwóch lat był sam i lepiej, żeby tak pozostało, szczególnie że wspomnienie poprzedniego związku tkwiło w nim wciąż jak zadra.

- Nie spodziewaj się za wiele po pokoju gościnnym. To nic specjalnego... - zaczął, lecz Mallory położyła mu dłoń na ramieniu.

- Proszę, przestań powtarzać, że to nic specjalnego. Nie przyjechałam na wakacje i nie oczekuję nie wiadomo czego. Mam konkretny cel. Chcę kupić odpowiedniego konia i jak najszybciej wracać do domu, do mojego ojca. Nic więcej mi nie potrzeba.

Zaprowadził ją do niewielkiego pokoiku, który natychmiast przypadł jej do serca. Stały w nim autentyczne wiejskie meble: staroświeckie drewniane łóżko i komódka. Łóżko przykrywał bajecznie kolorowy patchwork, na komódce leżała szydełkowa serweta, a na niej stała lampa naftowa. Mallory z zachwytem pogładziła serwetkę.

Otworzyła walizkę, żeby wyjąć buty do jazdy konnej. Ponieważ były na samym spodzie, niefrasobliwie wyrzuciła wszystkie rzeczy na łóżko. Gdy wreszcie wyjęła buty, spostrzegła, że Chase z dziwnym wyrazem twarzy przygląda się jej jedwabnej koszulce nocnej z wążkami ramiączkami.

- Pewnie za cienka? - domyśliła się. - Powinnam była przywieźć flanelową, bo w tej zmarznę?

Chase otrząsnął się, jakby obudziła go z głębokiego snu.

- Nie, nie w lipcu... - Wyprostował się i odchrząknął. - Myślałem tylko, że jak chłopcy zobaczą różne takie na sznurku...

- Na sznurku? Nie rozumiem.

- Tu wiesz się pranie na dworze, na sznurku. Ale zazwyczaj na wietrze powiewają robocze drelichy, a nie takie fru-fru.

- Ach, rozumiem. - Mallory uśmiechnęła się lekko. -

Rzeczywiście byłoby niestosownie wieszać osobiste rzeczy tak, żeby

wszyscy widzieli. Nie chciałabym nikogo urazić. Czy w takim razie mogę suszyć moje pranie w łazience?

- Jeśli chcesz... - odpad z trudem, rzucając okiem na porozrzucane koronkowe majteczki.

- Nie obawiaj się, moja bielizna nie będzie ci przeszkadzać. Ona nie zajmuje dużo miejsca - zapewniła.

Chase zacisnął zęby i wycofał się z pokoju.

Mallory popatrzyła za nim z namysłem, czując dziwny ucisk gdzieś w okolicach żołądka. Miała dzielić z tym mężczyzną łazienkę, jego sypialnia znajdowała się tuż obok... Nie przywykła do takiej intymności. Nie była jednak pewna, czy to sama intymność wprawia ją w zakłopotanie, czy raczej fakt, że będzie ją dzielić właśnie z Chase'em. Zrobił na niej wrażenie, i to już w pierwszej chwili, co było zdumiewające, zważywszy, że dotąd nikt nie zwrócił jej uwagi, choć cały czas obracała się wśród mężczyzn. Matka osierociła ją wcześniej, więc wychowała się pod okiem ojca i jego przyjaciół. Gdy skończyła studiować prawo międzynarodowe, nieustannie towarzyszyła ojcu na spotkaniach z kontrahentami. Poznała dziesiątki zamożnych, wpływowych i powszechnie podziwianych mężczyzn, ale żaden nie wzbudził jej zainteresowania. Co innego Chase Wells.

Szerokie bary, zabójczy uśmiech i oczy szare jak dym - a nie ma dymu bez ognia...

Co za głupie myśli przychodzą jej do głowy! Jej ojca zżerała śmiertelna choroba, nie było czasu do stracenia. Nawet jeśli Chase wywoływał w niej jakieś trudne do zrozumienia reakcje, musiała o tym

zapomnieć. Liczył się tylko koń, którego posiadał i którego - nie budząc żadnych podejrzeń - musiała od niego kupić.

Chase przygotował lunch. Były to zwykłe tosty z serem, ale Mallory przysięgłaby, że to jedna z najsmaczniejszych potraw, jakie jadła w życiu.

- Mam nadzieję, że Bob cię ostrzegł. Konie pokazane w Kalifornii nie są na sprzedaż - rzucił Chase, zabierając talerze ze stołu.  
- Rubin w tym sezonie wygrywa wszystkie wyścigi, więc byłbym idiotą, gdybym go sprzedał. A obie klacze są zamówione. Przyjąłem już zaliczki.

Mallory starała się nie zwracać uwagi na to, jak porusza się jego ciało.

- Nie jestem zainteresowana tym, co wszyscy. Lubię, gdy coś jest... wyjątkowe. Łypnął na nią podejrzliwie.

- Nie potrzebuję konia, żeby robić na innych wrażenie albo wygrywać wyścigi. Potrzebuję specjalnego prezentu dla mojego taty. Najchętniej półkrwi mustanga. Myślę, że to musi być zachwycające zwierzę.

On by tego o Peggy Sue nie powiedział, ale...

Ale dla Skylar Peggy Sue była zachwycająca. Odsunął od siebie bolesne wspomnienie.

- Pewnie dlatego, że koni czystej krwi macie na kopy?

- No, może nie na kopy. Zresztą jest ich coraz mniej, bo ciągle podbieram konie ze stadniny w celach charytatywnych. Ale tata jest



kochany i nie protestuje.

- Od jazu wiedziałem, że jesteś zepsutą jedynaczką.

- Oczywiście! Czy jedynaczki nie są takie zawsze? Przypomniało mu się, jak Skylar potrafiła owinać go sobie wokół palca, gdy czegoś chciała. Przechylała główkę, jej głosik stawał się proszący...

- Nie wiem, ja tu ciężko pracuję, a nie zabawiam dzieciaki - uciał szorstkim tonem.

Westchnęła.

- A szkoda. To wspaniałe zajęcie, mówię ci. Czas spędzony z dziećmi jest sam w sobie nagrodą. Do tego w cudownym otoczeniu... Mamy u nas przepiękną dolinę. To ogromna łąka, poprzecinana strumieniami, otoczona górami.

- Co ty mówisz? Przecież to opis mojej doliny!

- Niezupełnie. U nas za górami jest ocean.

- No dobra, przelicytowałaś mnie - przyznał z uśmiechem. - Mam nadzieję, że znajdziesz jakiegoś konia, żeby go zabrać w to bajkowe miejsce. Lewt, jeden z moich ludzi, siodła właśnie kilka trzylatków, żebyś mogła je obejrzeć.

- Nie mogę się doczekać - odparła z uśmiechem, zdolnym rozłożyć na łopatki każdego faceta.

Pospiesznie odwrócił wzrok.

Gdy doszli do zagrody, kasztanek Lucyfer stał już osiodłany, a Lewt właśnie kończył kulbaczyć gniadą klacz. Chase nie bez powodu wybrał do pomocy na to popołudnie właśnie jego. Lewt nie był najbystrzejszą bez przerwy żuł tytoń i - co najważniejsze - przekroczył

siedemdziesiątkę.

- Mallory, pozwól, to Lewt. Lewt, pani jest naszym gościem. Jest zainteresowana kupnem konia.

- Musi być pan szczęśliwy, zajmując się tak pięknymi końmi w tak pięknym otoczeniu - powiedziała serdecznie Mallory, ściskając artretyczną dłoń starego kowboja.

- Ano - przytaknął i z uczuciem poklepał po zadzie stojącą przy nich klacz. - Może chce pani Fasolkę?

- Fasolkę? - zdziwiła się Mallory.

Lewt odgarnął grzywę. Na czole klaczy, zamiast typowej białej strzałki, widniały trzy plamki w kształcie fasolek.

- Prześliczna - wymruczała pieszczotliwym tonem Mallory, łagodnie przesuwając dłońmi po pysku konia, a następnie po jego szyi i kłębie. Jej głos brzmiał teraz zupełnie inaczej niż wtedy, gdy rozmawiała z ludźmi. Był głębszy i bardziej melodyjny.

Chase przysłuchiwał się temu ze zdumieniem i przyglądał się, jak delikatne arystokratyczne dłonie badają pęciny klaczy. Ta kobieta chyba rzeczywiście wiedziała coś o koniach. Gdy Fasolka posłusznie zgięła nogę, by Mallory mogła obejrzeć kopyto, Chase mógł z kolei obejrzeć, jak biała bluzeczka opina się na pochylonych plecach, a pod nią wyraźnie rysuje się zapięcie staniczka. Widział cieniutkie ramiączka, misterne haftki. Przypomnił sobie wszystkie te skąpe koronkowe i jedwabne cacka, które rzuciła na łóżko. I to miało wisieć u niego w łazience...

Uff. Będzie gorzej, niż przypuszczał.

- Piękne mięśnie - zaopiniowała Mallory, prostując się. - Teraz zobaczmy je w ruchu.

- Dobry pomysł - wymamrotał pod nosem Chase, po czym w duchu przywołał się do porządku.

Sięgnął po cugle, oparł dłoń na łęku i lekko wskoczył na siodło. Zaprezentował kłus, trucht, jazdę stępą i figury: ósemki, piruet, pasaż. Mallory i Lewt obserwowali go, wymieniając czasami jakieś uwagi.

- Świetnie ujeżdżona - przyznała Mallory, gdy Chase ściągnął wodze i popatrzył na nią pytająco. - Niestety minimalnie zarzuca łbem przy każdej komendzie.

Zbaraniał.

- Ano - przytaknął Lewt i splunął niefrasobliwie. - Zarzuca. Nicem dotąd nie przywazył, ale dziewczyna dobrze gada.

Chase oklapł jak przekłuty balonik, chociaż nic nie dał po sobie poznać. Fasolka była niemal idealna, dałby głowę, że Mallory weźmie ją bez mrugnięcia okiem i będzie po sprawie. Tymczasem ona kręciła nosem, a Lewt jeszcze ją popiera. Już zdążyła przejść z nim na „ty” i przekabacić go na swoje... kopyto.

- No to obejrzyj Lucyfera - zaproponował. Okazało się, że Lucyfer dla odmiany kręci ogonem. Też nieznacznie, tym niemniej wprawne oko dostrzegło tę wadę. Ku irytacji Chase'a, Lewt ponownie zgodził się z Mallory. Trzeba było odprowadzić oba trzylatki do stajni. Chase osobiście osiodłał wdzięczną klacz imieniem Perelka. Po wybiegu poruszała się z wyjątkową gracją, nigdy nie ścinała rogów i stawała w miejscu jak zaklęta, bez żadnego przebierania nogami. Po

prostu... Perełka!

Chase aż nadał się z dumy, gdy po jego prezentacji Mallory zapragnęła dosiąść klaczki. Ha! Perełka przypadła jej do gustu! No i świetnie, niech ją bierze i niech stąd znika, póki nie narobi mu większych kłopotów.

Kilkanaście minut później Mallory zeskoczyła z siodła i oznajmiła, że Perełka wyjątkowo lekko niesie, ale jest zbyt delikatna w kłębie, więc dla jej ojca się nie nada.

- Za delikatna w kłębie? - powtórzył bezmyślnie, w duchu żegnając się z nadzieją, że szybko pozbędzie się uciążliwej klientki.

- Aha - potwierdziła beztrąsko Mallory, czule gładząc Perełkę po pysku.

Osiadłał więc kolejnego trzylatka, najrośniejszego ze wszystkich, ale ten okazał się za duży. Potem pięcioletnia klacz miała nieco za cienkie pęciny, a ogier w tym samym wieku odrobinę za szerokie stawy.

Chase spoglądał na tę niesamowicie piękną kobietę z rosnącą desperacją. Nigdy nie spotkał równie grymaśnego nabywcy. To, co wytykała z niewinną minką, to były naprawdę minimalne wady. Zdaniem Chase'a idealny koń w ogóle nie istniał. Jego stadnina cieszyła się zasłużoną renomą, wszystkie konie, które wychodziły spod jego ręki, prędzej czy później okazywały się złotymi medalistami. Czego więcej sobie życzyć?

- Mam tu taką karą klacz... - zaczął.

- O nie! - zaprotestowała, gwałtownie machając rękami. - Miałam

raz karosza i przysięgam sobie, że nigdy więcej!

- Czy ty w ogóle wiesz, czego chcesz? - spytał z powątpiewaniem.

- Jak zobaczę odpowiedniego konia, od razu będę wiedzieć, że to ten - odparła z absolutnym przekonaniem. - Pokazałeś mi dopiero pięć koni, a masz ich czterdzieści, więc jest w czym wybierać. Nie szukam doskonałości. Nie przeszkadzają mi wady, tylko niech one będą... wyjątkowe. Niech ten koń będzie niepodobny do innych. Jedyny w swoim rodzaju.

Chase pomyślał o Peggy Sue. Była jedyna w swoim rodzaju, a wad miała do licha i trochę. Musiałby jednak upaść na głowę, żeby pokazać Mallory tę małą diabolicę. Natychmiast straciłby reputację, gdyby wydało się, że nie potrafi ułożyć jednej narowistej klaczki.

- Obiecuję, że znajdę coś dla ciebie. Na pewno nie będziesz zawiedziona.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Mallory znieruchomiała z rękami w zlewie pełnym wody i brudnych naczyń. Melancholijnie wpatrywała się w okno, przez które widać było jaskrawoczerwony zachód słońca. Zaczynała się zastanawiać, czy zwierzę, które opisał jej szczegółowo Bob Llewelyn, rzeczywiście znajduje się na ranchu. Może on ją po prostu nabrał?

Minęły już trzy dni. Chase zdążył pokazać jej prawie trzydzieści pełnokrwistych wierzchowców, ale ona wciąż kręciła nosem, wynajdując coraz mniej istotne wady. Chase wyraźnie zaczął tracić cierpliwość. Chcąc go nieco ułagodzić, wybrała trzy najłagodniejsze konie na obóz jeździecki dla dzieci.

Z drugiej strony pobyt na ranchu Chase'a wcale jej nie nużył. W zamyśleniu przeciągnęła palcem po brzegu kubka, którego przed godziną dotykały zmysłowe męskie usta. Przypomniała sobie, w jaki sposób znad tego samego kubka Chase popatrywał na nią przy obiedzie. Proszę, nie trzeba wcale świec i francuskiego wina, żeby zrobiło się romantycznie...

Czy to, co odzywało się w niej, to... pożądanie? Jeśli tak, to musi mieć się na baczności. Zwłaszcza teraz. Za jej plecami trzasnęły drzwi i do kuchni wpadł Chase z twarzą wykrzywioną bólem. Dłoń miał owiniętą przesiąkniętą krwią chustką do nosa.

- Co ci się stało? - wykrzyknęła Mallory, pospiesznie odstawiając kubek do zlewu.

Ostrożnie zdjął chustkę z dłoni.

- Eee... Przytrzasnąłem rękę drzwiami.

Z ciężkim westchnieniem pokręciła głową. Chase Wells był najatrakcyjniejszym facetem, jakiego w życiu spotkała, ale jednocześnie był też zdumiewająco niezdamy. Nie dalej jak wczoraj potknął się o wiadro i lekko skrzył nogę w kostce, a jeszcze wcześniej zaczepił o wiszący na haku popręg i tak mocno uderzył ramieniem o drzwi siodlarni, że zrobił mu się potężny siniec.

- Pozwól, niech zobaczę... To od drzwi? - spytała z powątpiewaniem.

- Taak... Jeden z koni trochę się znarowił i kopnął w nie, jak wychodziłem.

Wzięła go delikatnie za rękę i zaprowadziła do zlewu. Odkręciła kran z zimną wodą i ostrożnie obmyła zranioną dłoń. Czowała coraz wyraźniej, że dotyk jego ciała zaczyna wywoływać w niej jakiś dziwny odzew.

- Zaraz ci to zdezynfekuję.

- Nie potrzebuję, żeby ktoś się nade mną rozczulał - burknął Chase.

Mallory puściła jego rękę, sięgnęła do wiszącej na ścianie apteczki i bez śladu współczucia wylała mu na rękę pół butelki spirytusu salicylowego.

- No to nie będę się rozczulać - skwitowała. - Poczekaj, przyniosę bandaż, bo tu już się skończyły. Gdy wróciła, Chase z dziwną miną wpatrywał się w zlewozmywak.

- Nie powiesz mi, że zmywałaś?
- Powiem. - Przyłożyła gazę na ranę i sprawnie zabandażowała rękę. - Chciałam zrewanżować się jakoś za obiad.
- Założę się, że w życiu nie jadłaś klopsów. Kąciki jej ust zadrgały podejrzenie.
- Pewnie, że nie! Z mięs jadam tylko ślimaki, homary i kaczkę z jabłkami.

- Tak myślałem.

Z westchnieniem podniosła na niego wzrok.

- Nie przepadasz za mną, prawda?

- No co ty? Przecież jesteś najmilszą milionerką, jaką znam.

Mallory popatrzyła na niego z ogromną powagą.

- Chase... - powiedziała, kładąc mu rękę na ramieniu. - Czy tu chodzi o pieniądze? Przeszkadza ci, że jestem bogata?

W ustach mu zaschło, a na myśl przyszło kilka odpowiedzi naraz. Wszystkie były do chrzanu. A już na pewno ta prawdziwa nie nadawała się do wygłoszenia pełną piersią w obecności kobiety, której uśmiech zdawał się rozjaśniać wszystko dookoła i której dotyk przyprawiał go o palpitację serca.

- Nie, ja tylko... Wybacz, chyba po prostu nie wiem, jak postępować z ludźmi twojego kalibru.

- Mojego kalibru? A co ja jestem? Broń?

Teraz to on nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

- No, wystrzałowa dziewczyna.

- Nikt jeszcze tak do mnie nie powiedział, ale podoba mi się.



Mnie też się podoba, pomyślał półprzytomnie, zdając sobie sprawę z tego, że ich ciała niepostrzeżenie przysunęły się do siebie, jakby miały swoje własne plany i swoją własną wolę. Teraz dzielił ich tylko jeden krok.

Tylko jeden.

Nagle ogarnęła go dzika chętka, żeby skraść całusa. Ciekawe, jakie są obyczaje na tej jej wyspie? Co grozi półkrwi czerwonoskóremu za zbałamucenie arystokratki? Głowy mu chyba nie utną?

A nawet jeśli - to czy nie warto zaryzykować?

Zauważył, że Mallory bierze głęboki oddech. Ha! Widać ją też wzięło...

- Muszę dokończyć zmywanie - oznajmiła, odwracając się do zlewu. - Potem pójdę na spacer. Może chciałbyś się przejść?

Jasne. I napytać sobie biedy, pomyślał ponuro, patrząc na jej prześliczny, zadarty nosek. Spacer pod gwiazdami, piękna kobieta u boku... Kto by to spokojnie wytrzymał?

- Dzięki, ale chciałem poczytać gazetę.

Wyglądała na trochę rozczarowaną. Pewnie nikt jej dotąd nie odmówił. Tak, piękne kobiety są zawsze zepsute powodzeniem. Ani chybi miała ochotę dla odmiany pobaraszkować z kowbojem na sianie. Znudzona bogaczka, skwitował w myślach z dezaprobatą, ale już kwadrans później, gdy Mallory skończyła zmywać i wyszła, nie mógł odżalować, że nie przyjął jej zaproszenia.

Chase nie miał pojęcia, co czyta. Mallory nie było już od godziny. Gdzie też ona się podziewała? Chyba nie stało się jej nic

złego. Nie, raczej zagadał ją któryś z chłopaków. Łazili za nią bezustannie. Dwudziestoletni Gabe przechwalał się, jak ujeżdża byki na rodeo, a Tony, który miał w żyłach odrobinę hiszpańskiej krwi, zaczął co drugie słowo wtrącać: „seniorita”, a co więcej - nosić czyste koszule.

Gdy ona wkrótce stąd wyjedzie, to wszyscy, nie wyłączając jego, poczują się, jakby pozbawiono ich widoku słońca. Ta dziewczyna była pełna blasku.

Ale i uparciuch z niej niezły! Niby nie chodziło jej o perfekcyjnego konia, a jednocześnie u każdego wynajdywała coraz bardziej absurdalne niedociągnięcia. Ostatnia klacz, jaką jej pokazał, miała... zbyt spiczaste uszy. Rzeczywiście, trudno było z tym dyskutować.

Za to litania całkowicie realnych wad Peggy Sue ciągnęłaby się bez końca. Dziś ta wariatka walnęła kopytami w furtę i przytrzasnęła mu nią dłoń. Poprzedniego dnia kopnęła go w kostkę, a jeszcze przedwczoraj runęła na niego tak ostro, że aż rzuciło go na ścianę. Do tej pory miał wielki siniec na ramieniu. Przez tę małą bestię wychodził na kompletnego idiotę i niezdare.

Szaleństwa Peggy Sue niepokoiły go tym bardziej, że klacz była poważnie chora. Chwilami ledwo trzymała się na nogach. Musiał w końcu zdecydować, co z nią zrobić. Miał coraz mniej racjonalnych powodów, by nadal ją trzymać. A do powodów emocjonalnych nie chciał się przyznać nawet sam przed sobą.

Z westchnieniem podniósł się zza stołu.- Gdzie ta kobieta się

podziwiał? - mruknął do siebie. - Pora jej poszukać.

Lekko utykając, wyszedł na werandę i nagle zamarł. Najmniejsza stajnia - ta, w której trzymał Peggy Sue - była otwarta. W środku paliło się światło.

Zapominając o bolącej nodze, pobiegł w tamtym kierunku. Już od drzwi usłyszał charakterystyczny zaśpiew, jakim Mallory uspokajała konie, i parskanie Peggy Sue. Serce w nim zamarło. Jeśli tej dziewczynie coś się stanie...

Wstrzymując oddech, na palcach podkradł się do otwartego boksu. Peggy Sue wyczuła go natychmiast. Gwałtownie zarzuciła łbem, ostrzegawczo obnażając zęby. Choć nieduża i drobna, teraz wyglądała naprawdę groźnie.

- Co się dzieje, malutka? - spytała pieszczotliwym tonem Mallory, stojąc tyłem do Chase'a. Łagodnie przesunęła zgrzeblem po białej sierści, przechodzącej na zadzie w popielatą z ciemnoszarymi plamkami. Mlecznobiała grzywa i taki sam ogon były brudne i zmierzwiłe, ponieważ Peggy Sue od bardzo dawna nie pozwalała się czyścić.

- Mallory, wyjdź z boksu - odezwał się cicho Chase, stając w wejściu. - Natychmiast.

Zaskoczona, odwróciła ku niemu rozpromienioną twarz.

- Znalazłam ją! - wykrzyknęła bez tchu. - To ona! Właśnie jej potrzebuję!

Zaniepokojona Peggy Sue zaczęła nerwowo przebierać nogami.

- Powiedziałem, żebyś wyszła. Ale już!

Mallory zachwiała się, gdy klacz mocno szturchnęła ją od tyłu, ale szybko odzyskała równowagę.

- Jest cudowna! Tyle w niej charakteru...

- Wyłaż stamtąd, ona cię zaraz zmasakruje - niemal zasyczał, starając się nie podnosić głosu.

- Nie mów głupstw - skwitowała. - Ona po prostu jest boska. To potomek naszych koni z Europy. Nie wiedziałam, że będzie aż tak piękna. Ten kształt łba i szyi, to umaszczenie...

- To diablica z piekła rodem. Mieszaniec. Niebezpieczna, chora wariatka!

Mallory spoważniała w jednej chwili.

- Tak, wiem, że jest chora. Zapewnię jej najlepszych weterynarzy. Pieniądze nie grają roli. Będzie miała u mnie dobrze, dojdzie do siebie, zobaczysz. - Poklepała klacz po szyi. - Od razu odżyjesz, jak wrócimy do domu...

Klacz szarpnęła się do tyłu, wytrąciła Mallory zgrzebło z ręki i zaczęła groźnie parskać. Chase zwinął dłonie w pięści i z desperacją postąpił krok do przodu. Tego było dla Peggy Sue za wiele. Obróciła się ku niemu z wyraźną furią, kładąc uszy po sobie. Teraz to dziwne zgrubienie na jej czole było doskonale widoczne. Chase'owi przypominało ono trochę jakiś diabelski róg, nieraz nawet mu się śniło, że jest znacznie większe i że Peggy Sue przebija go tym rogiem. Budził się wtedy zlany zimnym potem.

Weterynarz uznał, że to zniekształcenie kości, ale niebolesne, co jednak nie do końca przekonywało Chase'a. Co, jeśli nie ta narośl,

sprawiało klaczy ból, od którego stawała się tak zdumiewająco agresywna? Bo tego, że jej dzikie brewerie brały się z dokuczliwego bólu, był niemal pewien. To się zaczęło wtedy, gdy zmarła Skylar...

Peggy Sue patrzyła na niego takim wzrokiem, jakby czytała w jego myślach. W jej oczach pojawiło się szaleństwo.

Chase modlił się w duchu, żeby zdążyć skoczyć, złapać Mallory i wypchnąć ją z boksu, zanim Peggy Sue ją zabije. Była do tego zdolna.

Mallory spojrzała na rozdrażnioną klacz i zmarszczyła brwi.

- Hej, co cię tak ugryzło? Głodna jesteś? Czekaj, zaraz nasypię ci obroku. - Podeszła do żłobu, tym samym zostawiając wolną przestrzeń między Chase'em a klaczą. Ta natychmiast spostrzegła możliwość ataku. Opuściła łeb, jakby zamierzała zaszarżować.

- Spokojnie, spokojnie... - Chase próbował załagodzić sytuację.

Peggy Sue wspięła się na tylne nogi. Mallory, choć zaskoczona, zachowała przytomność umysłu i chwyciła za kantar. Klacz wyszarpnęła się i bokiem wepchnęła Mallory do kąta, żeby móc bez przeszkód zaatakować Chase'a.

Wystarczy, że wierzgnie, a wtedy trafi ją kopytami! - myślał gorączkowo. Nie bacząc na swoje bezpieczeństwo, rzucił się w stronę żłobu, by odciągnąć uwagę Peggy Sue. Dzięki Bogu, klacz odwróciła się za Chase'em, a Mallory uzyskała szansę ucieczki.

- Zwiewaj! - krzyknął, podejmując jednocześnie decyzję, że tego konia trzeba będzie zastrzelić. Ryzyko stało się zbyt duże. Mallory wyslizgnęła się z kąta, podczas gdy Chase wciąż cofał się w głąb boksu, by dziewczyna mogła bezpiecznie umknąć.

- Nic ci nie jest? - zawołał, nie spuszczać wzroku ze znarowionej klaczy.

- Oczywiście, że nie! Ty nic nie rozumiesz. Ona nie zrobi mi najmniejszej krzywdy, bo wie, kim jestem.

Ze zdumieniem obrócił głowę w jej stronę i to był błąd. Dwa piekielnie twarde kopyta spadły na jego pierś. Poleciał na ścianę i osunął się po niej tak miękko, jakby nie miał kości. W jednej chwili całe powietrze uszło mu z płuc. Usłyszał przejmujący krzyk Mallory.

Leżał na słomie, bezmyślnie rejestrując wzrokiem nieistotne detale, które nagle dziwnie urosły i wypełniły mu całe pole widzenia - gwóźdź wystający ze spodu żłobu, rysa na kopycie Peggy Sue, dzinsy opinające się na kolanie kucającej Mallory.

- Chase, słyszysz mnie?

Dźwięki zdawały się docierać do niego z ogromnej odległości.

- Odezwij się do mnie!

Wisząca pod sufitem lampa podświetlała od tyłu włosy Mallory, tworząc wokół jej głowy wyraźną aureolę. Chase zatopił błędne spojrzenie w niebieskich oczach.

- Jesteś taka piękna - wymamrotał niewyraźnie, czując posmak krwi w ustach.

Peggy Sue znów zaczęła się wściekle miotać. Mallory oceniła sytuację jednym spojrzeniem. Klacz była w takim stanie, że nie dałoby się jej uspokoić. Sama obecność Chase'a doprowadzała ją do furii. Wspięła się na tylne nogi nad ich głowami, zamierzając całym ciężarem opaść na bezwładne ciało swego właściciela.

Mallory przestała myśleć. Chwyciła Chase'a pod pachy i z desperacji doznając przyływu nadludzkich sił, wyciągnęła go z boku i zatrzasnęła furę, na której Peggy Sue wyładowała swoją złość.

Chase leżał na betonowej podłodze, mając dziwne wrażenie, że odpływa gdzieś w ciemność. Czuł też, jak ciepłe dłonie badają jego ramiona, boki i nogi, a potem rozpinają koszulę i pasek od spodni. Podobało mu się to do tego stopnia, że resztką sił starał się nigdzie nie odpływać.

Z trudem otworzył oczy. Gdy jego wzrok po dłuższej chwili odzyskał ostrość, zobaczył nad sobą prześliczne usta. Gdzieś już je widział... Ach, jest taka dziewczyna, ma na imię Mallory... A gdzie Sharon, pomyślał półprzytomnie. Gdzie jego była żona? Czemu nie drze się teraz na niego, czemu jej głos nie świdruje mu w głowie?

- Odezwij się, proszę. Powiedz coś. Cokolwiek - błagała Mallory, dotykając jego obnażonego torsu, barków i szyi.

Z głośnym świstem wciągnął powietrze w obolałe płuca.

- Powinna była to przewidzieć. To moja wina. Wybacz. - Bezradnie gładziła go po twarzy. - Co mam zrobić? Powiedz, co mogę dla ciebie zrobić?

Zrobiło mu się jakoś dziwnie miękko w środku i powiedział pierwsze, co przyszło mu do bolącej głowy:

- Po... pocałować... Żeby nie bolało - wyszeptał.

Mallory najpierw zerknęła na tę idiotkę Peggy Sue, potem przez moment bez słowa patrzyła na Chase'a. Zdawała się wahać. Nagle podjęła decyzję, pochyliła się i dotknęła wargami ust Chase'a w

słodkim, och, jakże słodkim pocałunku.

A Chase w tym momencie zrozumiał, że umarł i trafił do nieba kowbojów.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Chase stracił przytomność. Jego mięśnie zwiotczały, oddech stał się bardzo płytki. Mallory przełękła się. Chwyciła go za nadgarstek, próbując wyczuć tętno. Bez skutku.

W nagłej panice przytuliła głowę do jego piersi. Poczowała leśny zapach wody kolońskiej i ciepło nagiej skóry. Usłyszała bicie serca. Zamknęła oczy i wsłuchiwała się, mocno trzymając Chase'a w objęciach. Miarowe uderzenia zdawały się przenikać w głąb jej duszy, przynosząc radość i spokój.

Peggy Sue wydała z siebie głośny, bardzo dziwny odgłos. Zabrzmiało to prawie jak krzyk.

Zaskoczona Mallory uniosła głowę i spojrzała na jednoroźca, szalejącego z bólu i rozpacz, protestującego z głębi serca przeciw wszystkiemu, co nie było niewinne i czyste. Zrobiło się jej żal zwierzęcia.

- To nie jest tak, jak myślisz - wyjaśniła pośpiesznie. - To tylko współczucie. Nic ponadto.

Klacz całym ciężarem ciała runęła na furtę boksu, która ledwo



wytrzymała uderzenie. Mallory odsunęła się od Chase'a.

- Przestań! Zrozum, czasem trzeba iść na pewien kompromis. Nie mogłam odmówić prośbie rannego człowieka.

Peggy Sue potrząsnęła głową.

- Przecież on nie wie - tłumaczyła Mallory. - A ty zobacz, co mu zrobiłaś! Jeśli mu się cokolwiek stanie... - Urwała na moment, ponieważ na samą myśl ogarnęło ją przerażenie. - Jeśli stanie mu się coś złego, to nie wiem, czy wtedy uda mi się wydostać cię stąd i zabrać do domu. Pomyśl o tym.

Peggy Sue parsknęła nerwowo.

- Właśnie - skwitowała Mallory i ponownie spojrzała na Chase'a, który nie dawał znaku życia.

Delikatnie podsunęła dłoń pod jego kark i próbowała unieść mu głowę, lecz ona bezwładnie opadła na jedną stronę. Mallory poczuła na skórze szorstki dotyk jednodniowego zarostu.

- Chase, słyszysz mnie? - wyszeptała, potrząsając nim lekko w nadziei, że zaraz się ocknie. - Wstań, proszę... Pojedziemy do lekarza - przekonywała, chociaż wiedziała doskonale, jak poważne obrażenia można odnieść w wyniku takiego kopnięcia.

- Co jest, do diaska? - rozległ się chrapliwy głos starego Lewta.

Mallory uniosła głowę. Trzej kowboje stali jak wryci, patrząc ze zgrozą na bezwładne ciało Chase'a.

- O jasna cholera! - Gabe aż się zachłysnął. - Ta diablica go zabiła!

Tony przeżegnał się szeroko.

- Matko Boska, chroń nas przed tą czarownicą!
- Mówiłem, że to się tak skończy - podsumował ponuro Lewt.

Przestał żuć tytoń i splunął do kąta.

- Nikt nikogo nie zabił! - zdenerwowała się Mallory, nieco zbyt gwałtownie puszczając głowę Chase'a. Jęknął.

Tony wzniosł oczy ku niebu, dziękując za cud, a Lewt pospiesznie przykuśtykał do Chase'a i pomimo artretyzmu zdołał jakoś przyklęknąć przy jego boku.

- A niech mnie! Dycha! - ucieszył się.
- No przecież mówię, że nic mu nie będzie. Przestraszył Peggy Sue, a ona go kopnęła. Ale to był czysty przypadek! - zastrzegła.

Stary kowboj podniósł głowę i popatrzył na nią blado-niebieskimi oczami.

- Żaden tam przypadek. Nie przy tym koniu.

Chase siedział zgarbiony na kozetce. Wyglądał przerażająco. Głowa opadła mu na piersi, oczy miał zamknięte. Mallory gnębiły straszliwe wyrzuty sumienia. Gdyby się chwilę zastanowiła... Ale była zbyt podekscytowana, żeby domyślić się, że Peggy Sue zareaguje złością na jego obecność.

Zerknęła na niego z niepokojem. Była trzecia nad ranem, a Chase nie sklecił dwóch sensownych zdań, odkąd przywieźli go do szpitala. Najpierw bredził coś o niebie i aniołach, co złożono na karb prawdopodobnego wstrząsu mózgu, a potem w ogóle przestał się odzywać.

- No, trochę czasu potrwa, zanim pan się z tego wygrzebie - ocenił lekarz, który oglądał zdjęcia rentgenowskie. - Lekki wstrząs mózgu, jedno żebro złamane, jedno pęknięte. I paskudna rana szarpana. Czym pan podkuwa te konie? - spytał, i nie czekając na odpowiedź, rzucił: - Boli?

- Tylko... kiedy... oddycham - wydusił z trudem Chase.

- To dobrze - skwitował spokojnie lekarz. - Dzięki temu będzie pan czuł, że żyje. Widziałem już paru kowbojów, którzy po takiej przygodzie rzeczywiście dołączyli do grona aniołów. Ma pan szczęście.

Chase skinął głową.

- Mam... cholerne... szczęście.

- Cóż, pozszywamy pana i odeślemy do domu, żeby pan grzecznie leżał. - Lekarz rzucił zdjęcia na biurko i odwrócił się do Chase'a. - Panie Wells, znamy się nie od wczoraj. Wiem, że nie boi się pan ryzyka, ale moim zdaniem to już przekroczyło granice zdrowego rozsądku. Tak, pamiętam, rozmawialiśmy o tym - dodał, gdy Chase próbował coś wtrącić. - Ale proszę to przemyśleć jeszcze raz. Czasem trzeba się wycofać. No dobrze. Zaraz przyślę Josie, to zgrabnie pana załata. - Porozumiewawczo mrugnął do Mallory. - Miło mi było panią poznać. Proszę go zabawiać, ale nie aż tak, żeby śmiał się do rozpuku, bo nam się chłopak krzywo zrośnie.

Josie była pielęgniarką od niepamiętnych czasów i знаła się na rzeczy. Opatrzyła Chase'a bardzo sprawnie, na koniec owinęła go bandażem jak mumię, po czym obrzuciła Mallory taksującym

spojrzeniem.

- Przez parę dni trzeba będzie go ubierać i rozbierać, pomagać mu przy wstawaniu z łóżka i tak dalej - oznajmiła rzeczowo.

Mallory poruszyła się niespokojnie. Na samą myśl o tym, że miałyby pomagać Chase'owi przy tak intymnych czynnościach, oblała się rumieńcem. Krępowałyaby się nawet dotykać jego pościeli, a co dopiero...

- Mogłabym opłacić opiekunkę... - zaczęła, ale Josie zmierzyła ją takim wzrokiem, jakby chciała powiedzieć, że poprzewracało się jej w głowie.

- Tu nie ma takich wynalazków i nikt się ze sobą nie pieści. Musisz sama zadbać o jego potrzeby, moja panno. Najlepiej, jak potrafisz.

Chase zerknął na Mallory, a w jego szarych oczach zamigotał srebrzysty blask.

Tym razem poczuła dziwne gorąco w całym ciele, nie tylko na twarzy.

- Nie obawiaj się, nic ci nie grozi - uspokoiła ją Josie. - Po takiej przygodzie nawet najlepszy ogier jest nie do użytku.

Tym razem oboje zaczerwienili się po czubki uszu.

- Jak go znam, będzie próbował wierzgać i będzie go nosiło. A znam ja go, oj, znam huncwota! - Josie pogroziła mu palcem. - W razie potrzeby przywiąż go do łóżka.

Ta rada musiała szczególnie przypaść Chase'owi do gustu, ponieważ ponownie zerknął na Mallory i sugestywnie uniósł brew.

Pospiesznie odwróciła wzrok i zajęła się kartką, którą podała jej pielęgniarka.

- Tu masz receptę. Doktor przepisał lekarstwo na odlegmienne, bo pewnie będzie mu rzeźić w płucach. Dostaniesz to w naszej szpitalnej aptece. Kup też coś przeciwbólowego. Aha, i codziennie zmieniaj mu bandaż. - Josie znów odwróciła się do pacjenta i serdecznie położyła mu rękę na ramieniu. - Uważaj na siebie, Chase. Nie zamocz opatrunku. Leż, nie brykaj, słuchaj grzecznie tej panny, tylko jej nie wykorzystuj. - Sięgnęła po jego koszulę i podała ją Mallory. - No, to zabieraj go. Nieźle ci zalezie za skórę, ale mu się nie daj! - Z tymi słowami wyszła z gabinetu.

Mallory bezradnie siedziała z koszulą Chase'a na podolku i nie bardzo wiedziała, co począć.

- Zawsze to Lewt... mi pomagał, jak byłem... połamany - powiedział z wysiłkiem. - Ale tym razem... jest gorzej... Nie będzie miał... cierpliwości.

Mallory wzięła się w garść i zdobyła się na dziarski uśmiech.

- Nie ma sprawy, zajmę się tobą. W końcu to przeze mnie jesteś poturbowany. Dam sobie radę. Zobaczysz, niedługo poczujesz się jak nowo narodzony. - Wstała z krzesła. - Chodź. Na początek cię ubierzemy.

Przytrzymała koszulę, ale Chase nie dał rady ubrać się w ten sposób. Gdy tylko trochę uniósł rękę, na jego twarzy pojawił się grymas bólu. Mallory zrozumiała, że trzeba to zrobić inaczej.

Nasunęła rękaw na jego dłoń i ostrożnie podciągnęła materiał do

góry. Starła się przy tym unikać dotyknięcia skóry Chase'a, ale kiedy poprawiała kołnierzyk, mimowolnie musnęła opuszkami jego ciepły kark. Dostrzegła, jak Chase przymyka oczy. Zawahała się na moment, po czym ponownie poprawiała kołnierzyk koszuli, tym razem pozwalając, by jej palce zabawiły na jego skórze dłuższą chwilę. Przez jego twarz ponownie przemknął skurcz, Mallory odgadła jednak bez trudu, że tym razem nie wywołał go ból.

Wiedziała, że igra z ogniem i że nie powinna tego robić. Między nimi już i tak iskrzyło...

- Z drugim rękawem będzie gorzej - ostrzegła z troską.
- Trudno.

Delikatnie uniosła jego ramię i odgięła je do tyłu, żeby trafić w otwór rękawa. Widziała, że sprawia Chase'owi ból, ale nie było wyjścia.

- Już - pocieszyła go i zaczęła zapinać zatrzaski. Chase odetchnął głęboko, a wtedy niechcący dotknęła palcami jego nagiego torsu. Zacisnęła zęby, symulując kompletną obojętność. Niestety, dalej było gorzej, ponieważ kolejne zatrzaski znajdowały się coraz niżej, a przedostatni wypadał na wysokości suwaka u spodni. Jej dłoń zwolniła, jakby poruszała nią jakaś siła niezależna od woli Mallory.

Spłoszyła się i udała, że sprawdza, czy dobrze zapięła zatrzask.

- Myślałam, że przeoczyłam jeden - wymamrotała, tłumacząc się z zażenowaniem.

- Niczego nie przeoczyłaś - odparł prowokacyjnie.

Demonstracyjnie zignorowała aluzję i zapięła koszulę do końca.

- No, to wszystko - oznajmiła.

- Na razie...

Zerknęła na niego podejrzliwie, lecz nic nie zdołała wyczytać z tych jego zagadkowych stalowoszarych oczu.

- Jesteś na mnie zły, prawda?

Zachnął się lekko, co zresztą nie wyszło mu na dobre, ponieważ znowu wszystko go zabolalo.

- Sam jestem sobie winny - wystękał, z trudem łapiąc oddech. - Wiedziałem, że jest niebezpieczna. Już dawno trzeba było... ją zastrzelić.

- Chase, nie!

- Trzeba, bo znowu... zrobi komuś krzywdę.

- Już nikomu nie zrobi krzywdy. Potrzebuje tylko trochę czasu i odpowiedniego podejścia.

- Nie będę się w to więcej bawił... Moja cierpliwość się wyczerpała. - Próbował wstać, ale z jękiem opadł z powrotem na kozetkę. - Musisz mi pomóc... Nie dam rady się podnieść.

Usiadła obok niego.

- Nie mówię, że ty miałbyś się nią zajmować.

- A kto? Lewt za stary, Gabe niedoświadczony... Tony nawet do niej nie podejdzie. Mówi, że ona rzuca zły urok.

- *Basche!* - wyrwało się jej w ojczystym języku. Popatrzył na nią pytająco.

- Że co?

- Nic takiego. - Machnęła ręką. - Chciałam powiedzieć, że to

niedorzeczne. Da się okiełznać Peggy Sue, ale potrzebny jest czas, cierpliwość i łagodność. To nie jest zwyczajny koń, chociaż niektórzy tego nie widzą. A może nie chcą widzieć.

Chase potrząsnął głową.

- Trzeba ją zastrzelić, Mallory. Sprawy zaszły za daleko. Wierz mi, to będzie dla mnie wyjątkowo bolesne, ale... Nie chcę niczyjej krzywdy.

Była zrozpaczona. Z błagalnym spojrzeniem położyła mu dłoń na ramieniu.

- Jeśli ją zabijesz, skrzywdzisz mnie. Zawahał się.

- Chase, sprzedaj mi ją! Wezmę za nią pełną odpowiedzialność.

- Po moim trapie.

- Czemu? Przecież nie chcesz zajmować się nią dłużej. Wiesz, że nie dasz sobie rady.

Chase zjeżył się momentalnie. Mallory boleśnie uraziła jego dumę.

- Nigdy nie mówiłem, że nie dam sobie z nią rady!

- Och, nie o to mi chodziło - zapewniła pośpiesznie.

- Chciałam powiedzieć, że... że nie dasz sobie rady teraz, kiedy jesteś kontuzjowany. - Zamilkła na moment.

- Skoro więc ani ty nie możesz się nią zająć, ani żaden z twoich ludzi, to zostaje tylko jedna osoba. Ja. Pozwól, żebym zaopiekowała się i tobą, i Peggy Sue. Oblaskawię ją, zobaczysz. A wtedy nie będziesz miał się czego obawiać i z czystym sumieniem będziesz mógł mi ją sprzedać.



- Nie ma mowy! - Na znak, że dyskusja skończona, spróbował się podnieść.

Mallory szybko podtrzymała go, ale i tak zatoczyli się oboje. Odruchowo przylgnęła do niego i poczuła, że mogłaby już tak zostać. Chase zachował więcej przytomności umysłu. Wyprostował się na tyle, na ile pozwalały mu bolące zębra.

- Nie sprzedam ci jej, bo to zaszarga mi reputację. Peggy Sue choruje i nikt nie wie, dlaczego. Wyjdzie na to, że nie umiem dbać o zwierzęta, a przecież wszystkie są zdrowe, tylko z nią jedną jest kłopot, chociaż każdy z jej przodków ze strony matki był czempionem!

- Może to krew ojca powoduje, że Peggy Sue jest inna? - podsunęła. - Widzisz, taki koń to dar. Szkoda byłoby go zmarnować. Obrócił głowę ku uniesionej ku niemu twarzy Mallory. Przez chwilę w milczeniu patrzyli sobie w oczy. Żadne z nich nie odwracało wzroku.

- Dar? Nic mi o tym nie wiadomo, ale faktycznie szkoda byłoby mi Peggy Sue. Dlatego nigdy nie przestałem próbować, ciągle dawałem jej szansę...

- Twoja wytrwałość zostanie pewnego dnia nagrodzona - oznajmiła Mallory z taką powagą, jakby wygłaszała proroctwo.

Chase łypnął na nią podejrzliwie. Co ona wygaduje?

- Tego nie możesz wiedzieć.

- Mówiłam ci o pewnym koniu z mojej wyspy, mającym moc obdarzania szczęściem i pomyślnością tych, którzy byli dla niego dobrzy. Jeśli my pomożemy Peggy Sue...

- Ty chyba żartujesz!

- Nie, mówię zupełnie poważnie. Uwierz mi, to wszystko prawda.  
Z politowaniem pokiwał głową.

- To bajdy dla dzieci i naiwnych prostaczków. Ciekawe, mnie kopnął koń i mam wstrząs mózgu, ale to ty gadasz od rzeczy.

Oprzytomniej i wróć na ziemię!

- Jestem kompletnie przytomna i doskonale wiem, co mówię.  
Mogę okiełznać tego konia. Właśnie ja. A ty nie masz wyboru, musisz mi na to pozwolić.

Niezdarnie odwrócił się w jej stronę.

- Nie mam wyboru? A niby dlaczego?

- Bo zależy ci na Peggy Sue! A ja dzięki legendzie wiem, jak z nią postępować.

Chase aż wznosił oczy ku niebu.

- Dzięki legendzie? Ujeździsz półkrwi mustanga, bo tak jest w jakiejś bajce?

- Zaufaj mi. Teraz jeszcze nie jesteś gotów, ale któregoś dnia wszystko zrozumiesz. Masz na to moje słowo.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Chase siedział w pikapie między Lewtem i Mallory. Lewt wyjątkowo nic nie gadał, może dlatego, że była czwarta rano. Natomiast Mallory powiedziała już wystarczająco dużo.

Upór tej dziewczyny i wspomnienie jej spokojnego, pewnego siebie spojrzenia poważnie nadwątlily stanowcze przekonanie Chase'a, że tym razem trzeba będzie niebezpieczną klacz uśmiercić. Jego silna wola topniała też za każdym razem, gdy czuł dotyk kolana Mallory na swojej nodze, kiedy tylko samochód podskakiwał na jakimś wykrocie - a droga była dość wyboista. Chase jednocześnie zwijał się z bólu i odchodził od zmysłów.

Zanim wyszli ze szpitala, dla świętego spokoju obiecał, że zastanowi się nad jej propozycją. Nic ponadto. Po prostu nie chciał dalej słuchać tej gadaniny o bajkach, czarach i podobnych głupotach. Nie pojmował, jak Mallory może w to wszystko wierzyć. Do głowy by mu nie przyszło, że tak rezolutna dziewczyna jest jednocześnie tak naiwna.

Przestałaby wygadywać androny, gdyby zobaczyła wszystkie akcje Peggy Sue. Chase jeszcze nie widział, żeby koń potrafił aż tak wściekle rzucać się, kopać, gryźć... Gdyby w kółko nie naprawiał i nie wzmacniał jej boksu, rozwaliłaby go już dawno. Dotąd nie rozumiał, co się z tym koniem stało. Jeszcze dwa lata temu, gdy klacz była ulubienicą jego córeczki, sprawy wyglądały zupełnie inaczej. Gdyby

nie wiedział, że to bzdura, wytłumaczyłby zachowanie Peggy Sue rozpaczą po śmierci Skylar. Może powinienem poszukać dla niej psychoterapeuty, przemknęła mu przez bolącą głowę cokolwiek absurdałna myśl.

Lewt zajechał pod werandę.

- Pomóc ci wysiąść, staruszkę? - spytał.

- Nie rób ze mnie łamagi. Za parę dni będę zdrow jak koń.

- Taa... Doktor co innego gadał.

- A co on tam może wiedzieć? - bagatelizował Chase, jednocześnie przyciskając ukradkiem ramię do bolącego boku.

Niespiesznie przesunął się na siedzeniu w stronę drzwiczek i ostrożnie wystawił prawą nogę na zewnątrz.

Mallory ujęła go pod łokieć, żeby pomóc mu wysiąść. Nie miał ochoty wypaść w oczach Lewta na mazgaja, więc już miał odtrącić jej rękę, gdy spojrzał w te jej anielskie oczy i...

- Dzięki - burknął z zakłopotaniem.

- Połóż tego starego zrzędę do łóżka, będzie na chwilę spokój - doradził Lewt, wysiadając z samochodu. Wyciągnął z kieszeni dwie fiołki z tabletkami. - To te pigułki, co doktor kazał mu łykać. Niech se od razu weźmie.

- Nie ma potrzeby - obruszył się Chase. - Nic mi nie jest.

Lewt prychnął.

- Nie, nic, tylko gnaty masz połamane. Nie ma nic gorszego - oznajmił z pełnym przekonaniem. - To tak boli, że można fisia dostać.

- Nie potrzebuję, żeby ktoś się nade mną użalał - zgasił go Chase.

Stary kowboj zachichotał.

- I dobrze, bo nikomu cię nie żal. No to do rana, bawcie się dobrze - rzucił i nie przestając chichotać, niespiesznie oddalił się w stronę baraku.

- Nie wiem, czemu go tu jeszcze trzymam - wymruczał pod nosem Chase, ostrożnie wstępując na schodki werandy.

Mallory otworzyła drzwi i przytrzymała je.

- Pewnie dlatego, że jest uroczy - odpowiedziała.

- Tu nie ma uroczych ludzi - odparł ponurym tonem Chase. - Tylko pozbawieni złudzeń kowboje, którym w życiu niezbyt się powiodło. Nie daj się zwieść pozorom.

Mallory nie miała ochoty wdawać się w dyskusje. Odstawiła torebkę na kuchenny stół, nalała zimnej wody do szklanki i podała ją Chase'owi razem ze środkiem przeciwbólowym.

- Dzięki temu się wyśpisz.

- Nie mogę się wysypiać - zaprotestował. - A moje codzienne obowiązki?

- Teraz to są moje obowiązki - sprostowała spokojnie. - Wiem, co trzeba zrobić. Przygotować śniadanie, oporządzić konie, wyczyścić Peggy Sue, zrobić lunch, a po południu. ...

- Ty spryciulo! Ale żeś ją zgrabnie wplotła w tę wyliczankę - skwitował i wziął proszek.

- Naprawdę umiem się nią zająć. Tylko mi pozwól.

Nagle przypomniała mu się Sharon. Ona rzuciłaby ze złością, że nie obchodzą jej żadne „śmierdzące szkapy” i wyszłaby, trzaskając

drzwiami. Ta dziewczyna była zupełnie inna.

- Jak dotąd nikomu nie udało się dojść do ładu z Peggy Sue. Skąd ta niezachwiana pewność, że tobie się uda? Ach tak, prawda. Ty to wiesz z legendy... - przypomniał z ironią. - Jak to było? Spojrzałaś w lustro i powiedziałaś: „lustreczko, powiedz przecie, z kogo najlepszy koniarz na świecie”, tak?

- Nie. - Kąciki jej ust zadrgały leciutko. - To nie bajka o Królowie Śnieżce, tylko najprawdziwsza legenda, a mówiłam ci już, że każda legenda zawiera jakąś mądrość. Ale ty i tak mi nie wierzysz, więc nie ma sensu niczego ci tłumaczyć.

Przypatrywał się jej ponuro, porządnie już zmęczony jej absurdalnym uporem w kwestii Peggy Sue.

- Dobra, zdradź tę swoją tajemnicę i miejmy to z głowy. No, wal. Kuchenna lampa rzucała światło prosto na jej twarz, więc Chase spostrzegł, że Mallory spłonęła się lekko. Spuściła wzrok. Wyglądała w tym momencie tak krucho, słodko i niewinnie, iż miał ochotę ją zapewnić, że nawet jeśli jej nie uwierzy, to i tak uważnie i z pełnym szacunkiem wysłucha jej słów.

- Widzisz... - zaczęła z ociąganiem - ...ten koń z legendy to wcale nie koń. To... jednorożec! - Ostatnie słowo wypowiedziała pełnym zachwyty szeptem.

Chase aż przewrócił oczami. A może miał omamy słuchowe?

- Podobno chciałeś, żebym ci wyjaśniła! - wytknęła mu z rozdrażnieniem.

Już ją trochę znał, więc wiedział, że nie jest osobą skłoną do

irytacji. Skoro tak zareagowała, musiało to być dla niej coś wyjątkowo ważnego.

- I nadal chcę. Mów.

- Nazwa mojej wyspy, Narwhal, oznacza dosłownie „morski jednorożec”. Zresztą istnieją takie, rzeczywiście nazywają się narwale, mają długi, kręcony róg. Legenda mówi jednak, że na wyspie żyły jednorożce lądowe, podobne do koni. Jednorożce kochają wolność, w niewoli marnieją, chorują i umierają. Kochają też wszystko, co jest czyste i niewinne.

Nie spuszczał z niej badawczego spojrzenia.

- Tak jest napisane w książeczkach dla dzieci - zauważył.

Mallory odwróciła wzrok i w tym momencie zrobiło mu się tak jakoś niewyraźnie. Czyżby miał do czynienia z wariatką?

- Co więcej, ta łąka, o której ci kiedyś opowiadałam, była ich ulubionym miejscem - ciągnęła, choć już mniej pewnym głosem. - Tam właśnie żyły, rozmnażały się i... i biegały po wodzie - dodała z rozmarzeniem.

Chase niedowierzająco uniósł brwi, zapominając, że miał słuchać z szacunkiem.

- Legenda mówi też, że tylko panna może oswoić jednorożca.

Uniósł brwi jeszcze wyżej.

- I to się sprawdza. Peggy Sue ufa temu, kto jest niewinny.

Brwi mu opadły. Szczęka też.

- Widziałeś, że w mojej obecności była zupełnie spokojna. Ma do mnie zaufanie, ponieważ... - Podniosła na niego spojrzenie i

uśmiechnęła się na poły przepraszająco, na poły z zawstydzeniem. -  
Ponieważ ja nigdy... Nigdy nie byłam z mężczyzną.

Zrobiło mu się gorąco i nieuchronnie natychmiast pomyślał o seksie. O seksie z tą kobietą, której ponętnymi kształtami nikt jeszcze się nie cieszył.

- Zdaję sobie sprawę z tego, że to słowo zabrzmie śmiesznie i staroświecko w dzisiejszych czasach, ale tak się składa, że jestem...

- ...dziewicą - dokończył bez jakichkolwiek emocji. - Nie wiesz co to seks, pożądanie, pokusa...

Położyła dłoń na jego ramieniu.

- Mylisz się. To ostatnie już znam - wyznała z prostotą. - Odczuwanie pokusy nie jest niczym zdrożnym. Odczuwam, ale nie zamierzam ulec.

Zacisnął powieki. Jasne, to byłoby za proste i za piękne, gdyby śliczna milionerka miała ochotę wytarzać się w sianie z byle kowbojem. Nic z tego. To była porządna panna z Europy, tradycyjnie wychowana, nieskalana... A on takiej pannie robił niedwuznaczne aluzje, bo dałby sobie głowę uciąć, że jej w to graj i tylko czeka, żeby mu wskoczyć do łóżka. Tymczasem ona nie miała pojęcia, do czego to wszystko miało prowadzić...

Ale już nie prowadzi. Koniec, kropka. Poczł się boleśnie oszukany.

- Hej! - Lekko szturchnęła go palcem w ramię. - Dziwnie pobladleś. Gorzej się poczułeś?

- Nie, wszystko w porządku. Ja tylko... Takie mi tu intymne



rzeczy mówisz, a przecież... - Zajrzał jej prosto w oczy, szukając w nich podstępu. Może stroiła sobie z niego żarty? - Pamiętasz, pocałowałaś mnie w stajni parę godzin temu. Myślałem, że to dopiero wstęp... Że może z czasem nastąpi dalszy ciąg.

Patrzyła na niego tymi nieziemskimi oczami, dla których facet dałby się zabić, uśmiechała się uroczo i milczała.

- Do diaska! - zirytował się. - Przecież mnie pocałowałaś, nie? A może mi się coś przywidziało? W końcu koń mnie kopnął.

- Nie, nie przywidziało ci się. Pocałowałam cię, żeby nie bolało. Sam chciałeś.

- No tak, ale... - Nie wiedział, co powiedzieć. Jakim cudem kobieta, która uśmiechała się do niego tak zachęcająco, mogła być jednocześnie zupełnie zielona, jeśli chodzi o sprawy damsko-męskie? - Rany, gdybym wiedział, że przez to złamiesz swoje zasady, nigdy bym cię b to nie poprosił!

Zaśmiała się perliście, a jemu zrobiło się jakoś ciepło na sercu.

- Nie obawiaj się. Nie zrobiłam tego wbrew sobie.

- Nieźle mnie nabrałaś. Nigdy bym nie zgadł, że to pocałunek niedoświadczonej dziewczyny. - Znowu łypnął na nią podejrzliwie.

Ku jego zdumieniu wyglądała na zadowoloną.

- Czyli dobrze mi wyszło? - ucieszyła się. - Świetnie, bo to znaczy, że intuicyjnie wiem, co robić, a więc i z Peggy Sue dobrze mi pójdzie.

- Mallory... - zaczął ostrzegawczym tonem, ale nie dała mu dokończyć.

- Jeszcze nie wierzysz? Przecież widziałeś nas razem, słyszałeś legendę i wiesz o mnie... wszystko.

- Akurat bez tej ostatniej informacji doskonale mogłem się obejść - wymamrotał pod nosem.

Mallory źle zrozumiała jego uwagę i zatroskała się szczerze.

- Przepraszam, jeśli to rzeczywiście było zbyt intymne. Nie chciałam wprawić cię w zakłopotanie, tylko wytłumaczyć, dlaczego możesz bez obaw powierzyć Peggy Sue mojej opiece.

- Nie gniewaj się, ale to najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszałem. Myślisz, że co? Że dogadacie się jak... dziewczica z dziewczicą?

Sposób, w jaki spuściła oczy, wydał mu się kokieteryjny.

Pożałował, że nie jest z kamienia.

- Coś w tym stylu. Zirytował się.

- To wariatka!

- Tak ci się teraz wydaje, ale zmienisz zdanie.

- Nie sędzę.

Na jej twarzy pojawił się wyraz głębokiego rozczarowania. Nagle do Chase'a dotarło, że jeśli zabroni jej zajmować się Peggy Sue, to Mallory wróci do domu, gdy tylko on trochę wydobrzeje i przestanie potrzebować jej opieki. Nie będzie miała wtedy żadnego powodu, żeby zostać dłużej.

Hm, a jeśli rzeczywiście jest jakaś szansa na ułaskanie tej małej diablicy?

- Aż tak ci zależy? - upewnił się jeszcze.

- Tak, bardzo! Zgódź się, proszę. Zrób to dla niej. I dla mnie.

- Powiedz mi tylko jedną rzecz. Nie myślisz poważnie, że Peggy Sue jest czymś więcej niż koniem, prawda?

Zagryzła wargi i zawahała się.

- Daj spokój - odparła w końcu. - Po prostu ma pewne cechy... podobne. Kto by uwierzył, że to jednorożec?

Odetchnął z ulgą. Może jednak ta dziewczyna nie ma kompletnie pokręcone w głowie.

- No dobra. Spróbuj.

Podniosła ku niemu rozpromienioną twarz, a on kolejny raz ujrzał przed sobą anioła.

- Dziękuję ci, dziękuję - wyszeptała żarliwie, po czym wspięła się na czubki palców i czule, choć jednocześnie ostrożnie, pocałowała go w policzek.

- Nie tak - zaprotestował zduszonym głosem, biorąc ją w objęcia, dzielnie ignorując ból, który przeszył jego klatkę piersiową.

Tak jak poprzednio, pomyślał półprzytomnie.

Tak jak poprzednio...

Pocałował ją w same usta i zapomniał o całym świecie.

Gdy wreszcie z ociąganiem podniósł głowę, wyczytał w szeroko otwartych pięknych oczach Mallory bezbrzeżne zdumienie.

- Chase, nie powinieneś... To ci mogło zaszkodzić - przypomniała łagodnie, przesuwając dłonią po jego obandażowanym torsie.

- Mogło - przyznał ponuro. - I chyba zaszkodziło. Trzymał w ramionach nieziemsko piękną kobietę, a jednocześnie wiedział, że pozostawała poza jego zasięgiem. Właśnie ona. Ona jedna.

- Aha, żeby wszystko było jasne... Jeśli Peggy Sue wyrządzi ci najmniejszą krzywdę, zastrzelę ją natychmiast. Przysięgam.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Mallory nawet nie zmrużyła oka. Przez tych parę godzin, które zostały do świtu, rozmyślała o tym, że gdy zawiezie do domu potomka utraconej rasy Cornelle, w jej ojca wstąpią nowe siły. Spełni się największe marzenie jego życia. Wyobrażała sobie, jak prowadzi jednoroźca na narwhaliańską łąkę i wypuszcza go na wolność. Wtedy na ich ród znowu spłynie błogosławieństwo spokoju, zdrowia i radości. Nie wątpiła w to ani przez moment, przecież tak mówiła legenda.

Już niedługo wszystko będzie dobrze, tato, pomyślała. Będzie dobrze między innymi dzięki temu, że niejaki Chase Wells nigdy nie zważył w Peggy Sue.

Ledwo zaczęło świtać, Mallory wyskoczyła z łóżka i ubrała się pośpiesznie. Gdy usiadła na łóżku, żeby wciągnąć buty, z emocji aż dostała gęsiej skórki. Nie, nie martwiła się o reakcję Peggy Sue, bowiem jednorożec nie miał wyjścia - czystość serca zniewalała go. Nie mógł nie zaufać takiej osobie.

Nie martwiła się też o reakcję trzech kowbojów. Na początku zapewne będą się podśmiewać i krytykować jej postępowanie, ale w końcu zaskarbi sobie ich szacunek. Chwileczkę, mieli na to jakieś

odpowiednie określenie...

Aha, „baba z ikłą”. Właśnie, stanie się w ich oczach „babą z ikłą”.

Jedyny problem stanowił Chase. Peggy Sue reagowała na niego w zdumiewająco gwałtowny sposób, jakby sam jego widok był dla niej nie do zniesienia. Mallory nie miała pojęcia, o co chodzi, ale czuła, że ta tajemnicza zadra między koniem a jego właścicielem jest jedyną rzeczą, która może pokrzyżować jej plany.

Chase oczywiście nie omieszka sprawdzić, czy poczyniła postępy z Peggy Sue, klacz będzie wtedy szaleć i wyjdzie na to, że miał jednak rację. A przecież ostatnie słowo należy właśnie do niego, to on zdecyduje, czy sprzeda Mallory tego konia, czy nie. Dlatego musiała przekonać do swojego planu nie tylko upartą klacz, ale i upartego kowboja. To drugie wydawało się daleko trudniejsze.

Kiedy weszła do boksu Peggy Sue, klacz łypnęła na nią pytająco.

- Wyjdzie z tego - odpowiedziała Mallory. - Ale naprawdę mocno go poturbowałaś. Mogłaś mu wyrządzić poważną krzywdę. Weź to sobie do serca. - Odwróciła się i nasypała obroku do żłobu, na wszelki wypadek czujnie śledząc każde poruszenie Peggy Sue. Rozluźniła się odrobinę, gdy ta trąciła ją pyskiem w ramię. - Nie bój się, nic się nie zmieniło. Zawiozłam go wczoraj do szpitala, to wszystko.

Peggy Sue parsknęła.

- Nie przesadzaj. Chase jest tylko mężczyzną... - Urwała, zastanawiając się nad tym, jakie implikacje niesie z sobą to proste

stwierdzenie. Przypomniała sobie, jak siedział półnagi na kozetce. Był muskularny i tak niezwykle męski, że aż zapierało dech w piersiach.

Peggy Sue mocniej trąciła ją pyskiem, przywołując do porządku.

- Masz rację - zgodziła się Mallory, czując jednocześnie wyrzuty sumienia i dojmujący żal. Wielka szkoda, że Chase Wells był poza jej zasięgiem... - Dobrze, ustalmy reguły gry. Teraz ja się tobą zajmuję. Możesz mi zaufać, Peggy Sue. Wiesz, że chcę dobrze dla wszystkich i że cię nie zdradzę. Ale musisz ze mną współpracować.

Klacz parsknęła ponownie, tym razem z dezaprobatą, i ostentacyjnie odwróciła głowę od pełnego żłobu.

- Tak, wiem, jesteś bardzo niezależna. Mimo to radziłabym się zastanowić. Chcesz nadal tkwić w tym boksie? Nie chcesz wyjść na zewnątrz, na słońce? Nie masz ochoty pobiegać po zielonej trawie?

Peggy Sue zastrzygła uszami.

- To naprawdę dałoby się zrobić... Ale tylko ze mną. Dlatego radzę ci, idź na współpracę.

Peggy Sue zajrzała do żłobu i podejrzliwie powąchała zawartość.

- Dobrze zgadłaś, dodałam trochę miodu. To Chase mi podpowiedział, nie ukrywam. Jak widzisz, jestem skłonna posunąć się nawet do przekupstwa. I przyniosłam szczotkę i zgrzebło, żeby cię wyczyścić, jak będziesz jadła.

Peggy Sue odwróciła łeb w jej stronę i popatrzyła przenikliwie.

- Jak nie chcesz, to nie. - Mallory wzruszyła ramionami i skierowała się do wyjścia. Peggy Sue wydała z siebie taki odgłos, jakby westchnęła z rezygnacją i wsadziła łeb do żłobu.

Mallory powściągnęła uśmiech, cofnęła się w głąb boksu i długimi, miarowymi pociągnięciami zaczęła szczotkować brudną sierść Peggy Sue.

- Wszystkie moje konie są rozpieszczone do niemożliwości - zaczęła opowiadać niby od niechcienia. - Stajnia znajduje się tuż przy łące, olbrzymiej łące, która ciągnie się jak okiem sięgnąć aż do stóp gór. Murawa jest miękka i świeża, poprzecinana strumieniami, bo w kilku miejscach prosto z ziemi biją czyste źródła...

Peggy Sue przestała żuć owies i lekko uniosła głowę.

- Galopowałaś kiedyś po takiej łące? - spytała z rozmarzeniem Mallory, oczami wyobraźni widząc swoje ukochane miejsce. - Wiesz, jak to jest, gdy woda fontannami wzbija się spod kopyt i opada na ciebie orzeźwiającym deszczem?

Peggy Sue zastygła bez ruchu.

Nagle za ich plecami rozległo się szuranie. Mallory obejrzała się i zobaczyła, że to Lewt, kuśtykając, podchodzi do boksu.

- Chase wie, co ty tu wyprawiasz?

- Tak. Umówiliśmy się, że chwilowo ja zajmuję się Peggy Sue.

Ona się przy mnie uspokaja.

Kowboj pokiwał głową, nie przestając żuć tytoniu.

- Aaa, ostatnia próba zanim przyjdzie kryska na Matyska.

- Słucham? - zdziwiła się, ponieważ wciąż miała problem z tymi ich powiedzonkami.

- Ten koń to nic dobrego, ale Chase się uparł, że przyniesie mu szczęście. A ta mała piekielnica akurat najgorzej mu dojadła, gdy i tak

miał ciężko. - Splunął na ziemię.

- Konie wyczuwają ludzkie emocje - odparła Mallory.

- Ano. Ale ona to dziwoląg. Szaleje tak, jakby chciała się zaszaleć na śmierć.

Mallory zapamiętała sobie to zdanie.

- Mój tata mówi, że półdzikie konie są kompletnie nieprzewidywalne. Raz są potulne, a raz narowiste.

- Święte słowa, więc uważaj na nią. A, i na Chase'a też. Również ma swoje narowy.

Mallory wróciła do domu i starając się robić w kuchni jak najmniej hałasu, usmażyła naleśniki. Potem postawiła na tacy ogrzany dzbanuszek ze słodkim syropem, kubek z kawą, talerz z naleśnikami polanymi stopionym masłem i kieliszek z jakimś niebieskim kwiatkiem, który zerwała koło poidła dla koni. Wiedziała, że to śmiesznie zanosić polny kwiatek takiemu twardzielowi jak Chase, ale i tak postanowiła mu go dać. Choćby dla żartu.

Ostrożnie niosła tacę przed sobą. Już miała pchnąć ramieniem drzwi sypialni Chase'a, gdy dobiegł ją podniesiony głos Lewta:

- Czyś ty zdurniał?

- Mówiłem ci już, że Peggy Sue przypadła jej do serca. Miałem dziewczynie odmówić?

- Ano! Toć to głupota jak nie wiem co!

Chase zakasłał. Musiało go to zaboлеć, bo aż jęknął.

- Nie przesadzaj. Co to komu szkodzi?



- Patrzcie go! - zdenerwował się nie na żarty stary kowboj. -  
Odezwał się ten, któremu nie zaszkodziło!- Wypadek przy pracy. Sam  
mówiłeś, że dziewczyna zna się na koniach i że Peggy Sue jest przy  
niej całkiem spokojna.

- Nie chwal dnia przed zachodem słońca!

Mallory nie miała ochoty podsłuchiwać. Udało jej się oprzeć tacę  
na jednej dłoni, a drugą zastukać do drzwi. Gdy weszła do pokoju,  
okazało się, że Chase nie leży w łóżku, tylko siedzi na nim. W samej  
bieliźnie.

Natychmiast odwróciła spojrzenie, on zaś równie szybko zakrył  
się rogiem prześcieradła.

- Hi, hi, nie tak prędko, bo se znowu gnata złamiesz! -  
zachichotał Lewt.

Mallory z udawanym opanowaniem postawiła tacę na komodzie.

- Pomyślałam, że powinieneś zjeść coś ciepłego na śniadanie.

- Dzięki, ale po co tyle fatygi? Mogłem przyjść do kuchni.

Lewt z ironicznym uśmiechem popukał go zakrzywionym palcem  
w nagi tors.

- Nie masz tego tam... Szlafroka czy jak? Będziesz przy  
dziewczynie w samych gatkach siedział?

Chase spiorunował go wzrokiem, podciągając wyżej  
prześcieradło.

- Nic nie szkodzi - zapewniła Mallory, rumieniąc się po uszy. - I  
tak chciałam sprawdzić, czy bandaż mu się nie poluzował w czasie snu.

Lewt zrobił taką minę, jakby z trudem zachowywał powagę.

- No, to miłej zabawy w doktora, dzieciaki - podsumował i wyszedł, nie czekając na odpowiedź. Gdy tylko zamknął za sobą drzwi, zarechotał z uciechy.

- Nadal uważasz, że jest uroczy? - warknął Chase. Wzruszyła ramionami.

- To przecież przyjacielskie żarty. On naprawdę martwi się o ciebie.

- Nikt go o to nie prosił! Niech nie wtyka nosa w cudze sprawy. Teraz wierci mi dziurę w brzuchu o ciebie i Peggy Sue.

- Bez potrzeby. Spędziłyśmy bardzo przyjemny poranek. Chyba się dogadałyśmy. - Dostrzegła wyraz powątpiewania w jego wzroku, więc dodała: - Oczywiście ten miód domieszany do owsa sporo pomógł. Może od niego ona też staje się słodsza? - zażartowała.

Chase wzruszył ramionami i aż skrzywił się z bólu. Och, gdyby mogła go przytulić i pocałować! Naturalnie tylko po to, żeby nie bolało...

- Naprawdę powinieneś coś zjeść - przypomniała łagodnie, zmieniając temat.

- To podaj mi tacę i usiądź przy mnie.

- Na łóżku? - spłoszyła się.

- Mhm.

Zrobiła, o co prosił, choć nie umiałaby wytłumaczyć, dlaczego.

Uśmiechnął się na widok kwiatka, ale powstrzymał się od komentarza. Ukroił widelcem spory kawałek naleśnika, bezceremonialnie zanurzył go w dzbanuszkę z syropem, a potem

stwierdził:

- Tak, wiem, brak mi dobrych manier. - Następnie wsadził ociekający syropem kawałek do ust.

- Mnie to nie przeszkadza.

Przyjrzał się jej z namysłem.

- Jakoś mnie to nie dziwi. Tobie w ogóle mało przeszkadza...

Hm, niezłe te naleśniki!

Rozpromieniła się, a Chase szybko rozprawił się z resztą śniadania.

- To co, sprawdzisz ten mój opatrunek? Chyba rzeczywiście coś się poluzowało. - Z wysiłkiem uniósł ramię i wtedy dostrzegła, że bandaż się przesunął, a część gazy odkleiła się, odsłaniając ślady zostawione przez podkowy Peggy Sue.

- Och! Tak mi przykro... - Delikatnie dotknęła palcami spuchniętej, czerwonej skóry. - Na razie ci to poprawię, a wieczorem założę świeży opatrunek.

- A nie można by tego jakoś podrapać albo coś? Strasznie mnie swędzi.

- Nie, to tylko pogorszy sprawę. Mam coś lepszego. - Zabrała tacę z jego kolan i odstawiła ją na bok. - Pielęgniarka dała mi jakąś maść, kazała cię smarować w razie potrzeby. - Wyjęła z kieszeni džinsów niewielką tubkę i ponownie usiadła obok Chase'a. Oczywiście nie za blisko.

Ostrożnie nałożyła trochę maści na poranioną skórę.

- Ciepła - mruknął. - To dlatego, że trzymałaś ją w kieszeni

spodni.

Mallory skoncentrowała się na rozprowadzaniu maści.

- Czujesz, jak ja też się rozgrzewam?

Na te słowa z kolei jej się zrobiło gorąco. Najlepsze będzie zachowanie spokoju i rzeczowe podejście.

- Sądzę, że pacjent nie powinien mówić pielęgniarce takich rzeczy.

- Może i nie, ale kiedy pielęgniarka ma takie podniecające dłonie...

- Chase, przestań! - zbesztła go. - Twoje żarty są nie na miejscu.

- To nie są żarty, złotko - zaprotestował. - Mam na ciebie taką ochotę, że przez cały ranek myślałem tylko o tobie i o tym, co mógłbym zrobić, żebyś i ty miała ochotę na mnie.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Bez słowa zakręciła tubkę, wstała i położyła ją na nocnym stoliku.

- Co nic nie mówisz?

- Bo i tak nie słuchasz. Próbowałam ci powiedzieć, że pewne sprawy traktuję poważnie. - Zabrała tacę. - Zajrzę do ciebie wieczorem, teraz idę do Peggy Sue.

- Zaczekaj! - zawołał za nią.

Powinna była wyjść, ale coś kazało jej się zatrzymać. Coś w jego głosie.

- Daj mi tu jeszcze tę tacę.

Zerknęła na nią. Czego mógł potrzebować, skoro zjadł wszystko do ostatniego okruszka i wypił całą kawę? Nie rozumiała, o co mu chodzi, tym niemniej zawróciła. Ku jej zaskoczeniu Chase sięgnął po kwiatek i w zamyśleniu zaczął obracać w palcach smukłą łydżkę.

- Ja też pewne sprawy traktuję poważnie - powiedział, obserwując wirujące płatki. - To są niebezpieczne sprawy, bo potrafią zmiękczyć stare, zgorzkniałe serce. Takie jak moje. - Westchnął. - Odstaw tacę i pogadajmy.

Zawahała się, a wtedy Chase z ujmującą prostotą podał jej kwiatek.

- Dla ciebie. Jesteś tak samo delikatna i tak samo wytrzymała jak on. Chociaż czasem przypominasz mi różę z kolcami - dodał z

rozbrajającym uśmiechem.

Mallory odstawiła tacę i przyjęła kwiatek.

- Na moje dwudzieste pierwsze urodziny jeden mężczyzna przysłał mi dwadzieścia jeden koszy czerwonych róż. Zapełniły cały pokój. Ale ten kwiatek wydaje mi się cenniejszy, bo został ofiarowany szczerze.

Chase wyciągnął ku niej otwartą dłoń.

- Usiądź przy mnie. Musimy porozmawiać.

Jej dłoń sama wsunęła się w jego szorstką, spracowaną rękę. Palce Chase'a zamknęły się mocno wokół jej nadgarstka. Pociągnął ją ku sobie i Mallory posłusznie usiadła na łóżku.

- W odróżnieniu od ciebie jestem człowiekiem... doświadczonym - zaczął. - Ale nie lubię niczego niszczyć. Zwłaszcza czegoś, co jest młode, świeże, niewinne. Szkoda by było.

Mallory wpatrywała się w kwiatek.

- Niepotrzebnie ci powiedziałam... Teraz będziesz mnie traktował jak dziecko.

Chase mocniej uścisnął jej dłoń i był to krzepiący uścisk.

- Nie, właśnie dobrze, że powiedziałaś.

Podniosła na niego wzrok i oboje zamarli. Mallory nawet nie śmiała odetchnąć. Chase poczuł, jak krew mu się burzy w żyłach.

- Pewnie myślisz, że to głupie. Mam dwadzieścia pięć lat i czekam na tego jednego jedyne - odezwała się w końcu po dłuższej chwili. - Ale nie mam ochoty rozmieniać się na drobne. Wierzę w prawdziwą miłość. Taką na zawsze.

Parsknął krótko, jakby coś go rozbawiło.

- Teraz trudno znaleźć faceta, który ma ochotę być „na zawsze”.

A jeśli na takim ci zależy, to przestań mnie całować, bo kowboja trudno uwiązać - ostrzegł szorstko. - Dlatego dużo dziś o tobie myślałem, a także o tym, co oznacza twój pobyt tutaj.

- Jak to co? Same kłopoty!

Roześmiał się, ale złamane żebro znów dało znać o sobie.

Skrzywił się niemiłosiernie.

- To prawda - przyznał, gdy złapał oddech. - Ale polubiłem je. Mallory, lubię twój zapach, twój uśmiech, twoje wszystko... - Przesunął spojrzeniem po jej sylwetce, po czym przeniósł wzrok na pościel. - I lubię myśleć o tobie w łóżku.

Gwałtownie wciągnęła powietrze, jednak tym razem ani słowem nie skomentowała jego uwagi. Nie wyglądała też na urażoną.

- Ale na myśleniu się skończy. Po tym, co powiedziałaś ostatniej nocy, sprawa jest jasna. Dlatego bierz się za Peggy Sue, przekonaj się, że to nie jest koń dla ciebie, i wracaj do domu.

- Chcesz się mnie pozbyć?

- Tak będzie najlepiej dla nas obojga. Ciągnie nas do siebie, nie czujesz tego? - Położył jej dłoń na swojej nagiej piersi. Poczula pod palcami gwałtowne bicie jego serca.

- Chase, mogę czuć do ciebie sympatię bez ulegania zmysłowym...

- Możesz? - przerwał jej niskim, prowokacyjnie seksownym głosem. - Przecież cała drżysz. Masz na to ochotę tak samo jak ja. Ale

żadne z nas nie chce robić niczego, czego potem będzie żałować.  
Dlatego zapomnijmy o tym. Nie było sprawy.

Od tamtej pamiętnej rozmowy upłynął tydzień. Mallory wciąż była pod wrażeniem szczerości Chase'a, intensywności jego pożądania i tego, że z własnej nieprzymuszonej woli zakreślił nieprzekraczalne granice. Odtąd odzywał się do niej z dużym taktem i szacunkiem, przy czym jego bezpośredniość i naturalność wcale na tym nie ucierpiały. Czasem ujawniał emocje przez spojrzenie lub ton głosu, a to wystarczało, by podsyć jej pragnienie.

Niestety Mallory musiała poprzestać na rozpamiętywaniu dwóch oszałamiających pocałunków. Tylko ich wspomnienie zabierze ze sobą, gdy przyjdzie jej opuścić to miejsce na zawsze.

Czasem zastanawiała się, czy Chase czułby się na jej wyspie równie dobrze jak ona w tym odległym zakątku Wyomingu. Z przyjemnością pokazałaby mu stadninę, zaprowadziła do stajni. Byłby tam jedyną osobą nie w bryczesach, tylko w dżinsach, i nie w dżokejce, tylko w kapeluszu z szerokim rondem. Stajenni pewnie na początku podśmiewaliby się z tego kowboja, ale z pewnością szybko wzbudziłby ich szacunek. Chase Wells był bowiem człowiekiem prawym. Był człowiekiem honoru.

Odkąd zdała sobie z tego sprawę, czuła się przy nim dobrze i bezpiecznie, dzięki czemu mogła już bez zakłopotania opiekować się nim i dbać o jego dom. Poprzedniego wieczoru zorientowała się, że zabrakło mu świeżych koszul, wrzuciła więc brudne rzeczy do pralki.



Nigdy dotąd nie zajmowała się męskimi ubraniami, więc było to dla niej nowe i dziwne doświadczenie.

Jego koszule pachniały szałwią, ponieważ lubił szałwiowe cukierki i zawsze nosił opakowanie w kieszeni na piersi. W każdej koszuli materiał na łokciach był cieńszy, skraj jednego mankietu przetarty od zegarka, a wewnętrzna strona kołnierzyka zmechacona od stykania się z szorstkim zarostem. Przyglądała się jego rzeczom tak uważnie, jakby były czymś specjalnym. Bo były. Przecież dotykały ciała Chase'a.

Zauważyła, że jedna koszula jest rozdarta na ramieniu, więc gdy pranie wyschło, niezdarnie próbowała ją zacerować. Chase prosił wprawdzie, żeby dała sobie spokój, ale nie posłuchała. Obudziła się w niej niewyjaśniona potrzeba naprawiania różnych rzeczy.

Widział jej pozałowania godne zmagania z igłą i nitką, ponieważ wieczory spędzali razem w przytulnym pokoju z kominkiem. Mallory wiedziała, że na zawsze zapamięta te chwile, gdy powoli zapadał zmierzch, a za oknami robiło się coraz ciemniej. Chase, który zazwyczaj przeglądał notowania giełdowe, zapalał wtedy stojącą lampę z abażurem, a jasny snop światła padał ponad jego ramieniem na rozłożoną gazetę. Czasem podnosił wzrok na krzątającą się Mallory i napomykał, że komuś trafi się kiedyś wspaniała żona.

Tyle pięknych chwil, tyle pięknych wspomnień... I tego wszystkiego trzeba będzie się wyrzec! Niewiele dni jej zostało. Dobrze jej było u Chase'a, ale jednocześnie rozpaczliwie tęskniła za ojcem. Miała wrażenie, że każda chwila spędzony z dala od niego to chwila

stracona.

Wszystko zależało od Peggy Sue, a Peggy Sue... Przeszła jej najśmielsze oczekiwania! Mallory jeszcze nigdy nie widziała konia, u którego w ciągu tygodnia nastąpiła taka poprawa. Chase nie bardzo zdawał sobie z tego sprawę, ponieważ wciąż ledwo się ruszał. Owszem, parę razy przyszedł na inspekcję i musiał przyznać, że klacz wygląda zdrowiej, ale nie miał pojęcia o postępach w jej treningu. Peggy Sue okazała się niezwykle pojętna, rozumiała wszystko, co się do niej mówiło. Mallory obawiała się nawet trochę, że kiedy ukryte talenty niezwyklej klaczy wreszcie wyjdą na jaw, Chase diametralnie zmieni o niej zdanie, nie zechce się z nią rozstać.

Trzej kowboje, zaintrygowani poczynaniami Mallory, zaglądali do stajni, żeby sprawdzić, co się dzieje - oczywiście z bezpiecznej odległości. Wieść, że Peggy Sue dała sobie założyć kantar, zelektryzowała wszystkich. To się jeszcze nigdy nie zdarzyło!

Tego dnia Mallory wyprowadziła klacz na lonży z boksu, żeby ją nieco rozruszać. Oczywiście na razie nie było jeszcze mowy o wychodzeniu na zewnątrz. Na początek długość stajni była wystarczająca.

Akurat wtedy zjawił się Gabe. Krew odpłynęła mu z twarzy tak szybko jak bohaterom kreskówek.

- Czy Chase wie, co ty z nią wyprawiasz? - spytał nieswoim głosem.

Peggy Sue stanęła jak wryta i popatrzyła na niego wrogo.

- Jeśli mam ją ujeździć, muszę zacząć wyprowadzać ją z boksu,

to przecież jasne - skostatowała Mallory.

Peggy Sue zaczęła grzebać kopytem - raz, drugi... To było wyraźne ostrzeżenie, że zaraz zaszarżuje.

Mallory mocniej przytrzymała lonżę, ale jej głos zabrzmiał kojąco:

- Hej, już dobrze... Pamiętaj, zawarłyśmy umowę. Czeką nas dużo pracy, zanim wreszcie trafisz do domu. Ale przecież warto.

Peggy Sue po raz trzeci uderzyła kopytem o ziemię, tym razem z wyraźną rezygnacją.

- Kusisz los - zawyrokował Gabe. - A Chase zapowiedział, że jak coś ci się stanie, to on...

- Nic się nie stanie - ucięła Mallory. - My tu sobie świetnie radzimy. I Peggy Sue wie już, iż nie zawsze będziemy tylko we dwie, że inni będą obserwować jej postępy i że trzeba się z tym pogodzić. - Czule pogładziła klacz po chrapach. - Prawda, złotko?

Gabe jęknął z przerażeniem.

- Odgryzie ci rękę!

Mallory parsknęła śmiechem. Nawet Peggy Sue łypnęła na niego z rozbawieniem.

- Jest na to za mądra, uwierz mi.

Gabe nic nie odpowiedział. Założył ręce i kołysząc się na piętach, przyglądał się z powątpiewaniem.

Mallory, wciąż mocno trzymając lonżę, wyjęła z kieszeni szczotkę i zgrzebło i zaczęła czyścić wychudzone boki Peggy Sue długimi, uspokajającymi pociągnięciami. Nagle klacz mocno zarzuciła

głową i prawie przewróciła Mallory.

- Co tu się dzieje, do jasnej cholery! - ryknął od wejścia Chase. Peggy Sue stanęła dęba, wrywając lonżę z dłoni Mallory, i runęła przed siebie.

Stali we trójkę na progu stajni i patrzyli, jak Peggy Sue w pełnym galopie przecina padok i przez uchyloną bramę wybiega na rozległe pastwisko. Chase przyciskał ramię do chorego boku, a mięsień na jego policzku aż drgał z bólu. Peggy Sue dosłownie zwała go z nóg, uciekając ze stajni.

- Nic ci nie jest? - zaniepokoiła się Mallory.  
- Pewnie, że nie! To o tego cholernego konia się denerwuję!  
- Trzeba było jej nie płoszyć! Przestraszyłeś ją, zjawiając się niespodziewanie i wrzeszcząc od samego progu. To się teraz nie dziwi, że są takie efekty.

Chase skrzywił się.

- Nawet jeśli wrzeszczałem, to dlatego, iż czułem przez skórę, że zaraz coś pójdzie źle.

- Jesteś taki sam jak mój ojciec - skwitowała Mallory. - On też niepotrzebnie się denerwuje, podczas gdy ja naprawdę kontroluję sytuację. Popatrz tylko, co narobiłeś przez twój brak zaufania do mnie.

Zjeżył się.

- Jasne. Może jeszcze spierz mi tyłek za to, że się o ciebie martwię!

Mimowolnie zerknęła na tę część jego ciała, którą ewentualnie

miałaby sprać. Była to bardzo kształtna część... Pospiesznie podniosła wzrok. Ich spojrzenia spotkały się, a rysy twarzy obojga złagodniały.

Przecież tak naprawdę to miłe, że się o nią martwił.

Bardzo miłe. Poczwała, iż jej sympatia do Chase'a rośnie coraz bardziej.

Gabe odchrząknął głośno, żeby im przypomnieć, że nie są sami.

- Wskoczę na siodło i spróbuję ją zagnać z powrotem. Dawno nie biegała, musiała się zmęczyć.

- Dobra. Ja pójde otworzyć szerzej bramę.

- Nic nie róbcie - stanowczo stwierdziła Mallory. - To ja ją wyprowadziłam z boksu, więc ja ją teraz przyprowadzę z powrotem.

- Taka zabawa może potrwać i pół dnia - ostrzegł Chase.

- I potrzeba więcej ludzi - dodał Gabe. - Zawołam Tony'ego.

- Przynajmniej dajcie mi spróbować! - zaprotestowała dziewczyna.

Mężczyźni wymienili spojrzenia nad jej głową. Poblężliwe spojrzenia.

- Ależ proszę cię uprzejmie - łaskawie zgodził się Chase.

Mallory ruszyła w kierunku klaczy, która oddaliła się o kilkaset metrów. Teraz biegła kłusem, widać miała już mniej sił. Po kilkunastu krokach Mallory zatrzymała się, włożyła dwa palce do ust i gwizdnęła przenikliwie.

Peggy Sue przeszła z kłusa w trucht.

Mallory gwizdnęła ponownie.

Peggy Sue zatoczyła niewielkie koło i przystanąła. Przed sobą

miała znieawidzone stajnie i niewielki padok, a za sobą piękną zieloną dolinę.

Mallory gwizdnęła po raz trzeci. Peggy Sue ruszyła najpierw stępa, potem przyspieszyła i przybiegła do Mallory jak po sznurku. Zatrzymała się przed nią, a jej mięśnie drżały z wysiłku.

- Nie rób mi tego więcej - poprosiła Mallory, gładząc wilgotny od potu grzbiet klaczy. - Obie mamy za dużo do stracenia. Jeśli nie będziesz słuchać, to nie wrócisz do ojczyzny, a ja...

Za plecami usłyszała podekscytowany głos Gabe'a:

- O kurde! Widziałeś? Jak ona to zrobiła? Odwróciła się i spostrzegła, że Chase kręci głową z niedowierzaniem.

Nagle uprzytomniła sobie, ile przed nim ukrywa. Zrobiło się jej przykro, ponieważ najchętniej dzieliłaby się z nim wszystkim... Nie mogła jednak powiedzieć mu całej prawdy o tym koniu. A już z całą pewnością nie mogła mu powiedzieć o tym, co chowała w sercu.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Chase z żalem łypnął wzrokiem na wygodny, miękki fotel i ostrożnie usiadł na kuchennym krześle z twardym, prostym oparciem. Lepiej by mu się myślało w fotelu, ale jego żebra lepiej czuły się na krześle.

A ostatnio miał o czym rozmyślać.

Dopóki nie zjawiała się Mallory i nie postawiła wszystkiego na głowie, udawało mu się prowadzić w miarę znośne życie. Harował od świtu do zmroku, żeby wieczorem móc zwalić się na łóżko jak kłoda i spać kamiennym snem do następnego ranka. Starał się nie myśleć. Na nic już nie czekał. Z dziecinnego pokoju zrobił schowek na niepotrzebne rzeczy. Przestał nasłuchiwać tupotu małych stopek i marzyć, że znowu usłyszy cienki głosik, wołający: tatuś!

I nawet nie potrzebował już kobiety. Od czterech lat spał sam i pogodził się z tym faktem. Co go więc naszło, że nagle zaczęło mu to doskwierać?

Jak to co? Mallory.

Puknij się w łeb. Za wysokie progi na twoje nogi.

Ale... Ale przyjemnie było choć pomarzyć.

Kiedy miał dwadzieścia lat, nie było dla niego większej rozkoszy niż leżeć u boku kobiety. Były takie zmysłowe i pachniały tak słodko... Ale żadna nie pachniała tak cudownie jak Mallory. Napawał się jej zapachem, gdy zmieniała mu opatrunek lub smarowała maścią obolałe

miejsca.

Kobiety były takie ciepłe... Jednak żadna nie rozgrzewała go tak jak Mallory. Gdy go dotykała, jej palce niemal parzyły!

Ale najbardziej działał na niego kobiecy głos. Perlisty śmiech. Czuły szept. Miłosne odgłosy. Gdyby to on mógł być tym mężczyzną, który usłyszy rozkoszny jęk z ust Mallory... Być tym, który dotknie jej pierwszy, który ją wprowadzi w świat nowych doznań...

Co też mu chodzi po głowie? Był większym wariatem niż ta postrzelona, mała klacz!

Z desperacją przegarnął włosy palcami. Powinien przecież pamiętać lekcję, jaką dała mu Sharon. Raz już się zaangażował i skończyło się niewyobrażalnym fiaskiem. Kompletna kłapa. Od początku do końca. Dlatego nie powtórzy tego błędu.

Ale Mallory w niczym nie przypominała Sharon. Okazywała mu troskliwość w takich sytuacjach, w których była żona odwracała się plecami. Umiała wybuchnąć szczerym śmiechem, podczas gdy Sharon uśmiechała się z politowaniem. Odnosiła się z przyjaźnią do jego pracowników, w których Sharon widziała jedynie „parobków”. Same różnice...

Mallory była promienna, radosna, serdeczna. Czasem zdawało mu się, że w jej niebiańskich oczach błyszczą gwiazdy - czyste, budzące nadzieję, wskazujące drogę. Drogę do szczęścia, którym miał być wierny, stały związek mężczyzny i kobiety.

Chase musiał się mieć na baczności, żeby serce nie popchnęło go w tym niewłaściwym kierunku.



Lewt zajrzał do kuchni.

- Chcesz coś zobaczyć, to chodź.

Chase najpierw spojrział ze złością na swoje buty. Za nic nie dawał rady ich wciągnąć, chociaż męczył się jak wszyscy diabli. Był wściekły, że niemal we wszystkim jest zależny od pomocy Mallory. Jak na złość, tego ranka zostawiła go na łasce losu i od razu poleciała do stajni. Jakby zrobiła to specjalnie...

- Zaraz przyjdę - burknął.

Wciągnie je, choćby miał sobie złamać następne żebro! Do kuchni wparował Tony.

- Niezły numer z naszej seniority, nie, szefie?

Chase łypnął na niego i ponownie spróbował założyć buty. Usiłował trafić stopą w otwór cholewy, ale ponieważ nie mógł się schylić, by przytrzymać but ręką, jego wysiłki spełzły na niczym.

- Jak szef nie daje rady, to pomożemy - zaofiarował się Tony, zdecydowanym krokiem podchodząc do Chase'a.

Lewt aż zachichotał, na co Chase spiorunował go wzrokiem.

- Dzięki - wymamrotał zażenowany, sztywno podnosząc się z krzesła, gdy już uporali się z wciąganiem mu butów. - Nie wiem, co mnie tak dziś połamało. Pewnie źle spałem.

- Ja też bym źle spał, jakbym miał taką ślicznotkę pod ręką - przytaknął Tony z błyskiem w oku. - Co ja gadam? W ogóle bym nie spał... sam.

Jeszcze niedawno Chase nie zwróciłby najmniejszej uwagi na ten typowo męski żart, ale teraz... Teraz aż go zabolalo.

- I tym się różnimy - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Ja nie jestem psem na kobiety.

- Nie, różnimy się tym, że ja mam w sobie hiszpańską krew. - Tony mrugnął porozumiewawczo. - A Hiszpanie są najlepszymi kochankami.

Chase zignorował jego słowa, wziął ze stołu kapelusz, wyszedł na zewnątrz i zamarł.

Na padoku Mallory trenowała na lonży Peggy Sue. Gabe dosłownie wisiał na ogrodzeniu i przyglądał się jak zahipnotyzowany.

Chase poczuł, że serce podchodzi mu do gardła.

- Czy ona zwariowała?! Na to jeszcze za wcześnie!

- Szefie, ona wie, co robi. Ta dziewczyna potrafi gadać z końmi!

- Tony powiedział to z tak nabożnym szacunkiem, że Chase spojrzał na niego jak na wariata.

- Jak pragnę zdrowia - przyświadczył Lewt. - Peggy Sue rozumie wszystko, co ona do niej mówi. Słyszał człowiek o zaklinaczach koni, ale żeby wreszcie zobaczyć jednego... No, no... Duża rzecz.

- Ona nie jest żadnym zaklinaczem koni, tylko... -Chase zająknął się, po czym wzruszył ramionami. - Ma własny styl, to wszystko.

- Ma nosa - poprawił Lewt. - Ta dziewczyna wie więcej niż my wszyscy razem wzięci.

- A ja bym przysiągł, szefie, że ten koń z nią gada. Dobra, wiem, że to głupio brzmi, ale to naprawdę tak wygląda. Jakby ze sobą rozmawiały!

Chase popatrzył na niego znacząco.

- Od tej hiszpańskiej krwi masz też bujną fantazję - skwitował. -  
Peggy Sue musiała ją po prostu polubić.

Ruszyli w stronę padoku. Byli kilkanaście metrów od ogrodzenia, gdy na jednym ze słupków mignęło coś płomiennie rudego. Chodząca po okręgu klacz spłoszyła się i wierzgnęła, ale stojąca w środku zagrody Mallory błyskawicznie zaparła się nogami i mocno przytrzymała lonżę.

Tymczasem ruda kocica, zwana Kitką, wskoczyła na słupek, usiadła na nim, nonszalancko zawijając wokół siebie puszysty ogon, i zaczęła lizać przednią łapę.

Mężczyźni znieruchomieli i wstrzymali oddech. Wiedzieli aż nadto dobrze, że wystarczy byle co, by Peggy Sue wpadła w szal i próbowała stratować najbliższą osobę. Tym razem najbliższej znajdowała się Mallory... Mallory, która skracając lonżę, podeszła do narowistej klaczy, położyła jej dłoń na szyi i coś powiedziała.

Peggy Sue z ociąganiem uczyniła kolejny krok. Jeszcze jeden. I jeszcze jeden. Serce Chase'a biło coraz mocniej i szybciej. Klacz zrównała się ze słupkiem, na którym Kitka dokonywała toalety.

Chase bał się panicznie, że Peggy Sue zaraz pokaże, na co ją stać. Za moment Mallory polecą na ogrodzenie jak szmaciana laleczka...

Inni musieli myśleć to samo. Lewt zaciskał szczęki, Tony stał cały spięty, gotów natychmiast wkroczyć do akcji, Gabe niepostrzeżenie ześlizgnął się z ogrodzenia. Każdy z nich zamierzał rzucić się na ratunek tej kruchej cudzoziemskiej panience.

Naraz Kitka wstała, przeciągnęła się leniwie, zeskoczyła na

ziemię i odmaszerowała z wysoko uniesionym ogonem. Peggy Sue odprowadziła ją nieodgadnionym wzrokiem i dokończyła kółko.

Czterej kowboje odetchnęli jak jeden mąż.

To było prawdziwe poskromienie złośnicy, przemknęło Chase'owi przez głowę.

Mallory obdarzyła Peggy Sue promiennym uśmiechem. Jej twarz zdawała się jaśnieć. Znowu przypominała mu anioła. A on tego anioła chciał mieć. Pamiętał jej pocałunki i chciał więcej. Chciał dostać wszystko. Na sam jej widok ledwo nad sobą panował. Jednak głos rozsądku przypominał mu, że zbyt wiele ich dzieli: nieudane małżeństwo, koszmar rozvodu, śmierć dziecka. I różnica zdań w kwestii konia imieniem Peggy Sue.

Była jedenasta w nocy, ale Chase nie kładł się jeszcze. Wiedział, że i tak pragnienie nie da mu zasnąć. Przed godziną słyszał, jak Mallory bierze prysznic. Była tuż obok, dzielił ich zaledwie wąski korytarz. Kąpała się w jego łazience, używała jego mydła, a on mógł sobie to tylko wyobrazić. I bezsilnie zazdrościł wodzie, mydłu i ręcznikowi, które mogły dotykać jej wszędzie tam, gdzie on by chciał...

Wszedł na korytarz. Z pokoju Mallory dobiegał odgłos grającego radia. Akurat nadawano słodką piosenkę country o miłości, o parze ciepłych ramion w chłodną samotną noc.

Nie miał szans. Ręka sama podniosła się do góry i zapukała do drzwi.

- Momencik! - zawołała Mallory. - Coś się stało? - spytała parę

sekund później, ogarniając go zaniepokojonym spojrzeniem.

- Nie, nic. Chciałem ci tylko podziękować. Za twoją pracę z Peggy Sue.

Cieniuteńkie ramiączko koszuli nocnej ześlizgnęło się z jej ramienia, ale nie zauważyła tego, ucieszona pochwałą. Z uśmiechem uchyliła drzwi nieco szerzej. Teraz Chase mógł widzieć też wcięcie dekoltu i zarys jej piersi.

- Już mi to dziś mówiłeś.

- Tak, ale... Ale tak sobie myślałem... - Urwał, spojrzawszy na jej białe stopy. Pomalowała paznokcie na czerwono.

- Ja też o tym myślałam. Myślałam o tym, jakim wzrokiem na mnie patrzyłeś. Ciągle mi nie wierzysz, prawda? A przecież ona robi wyraźne postępy.

- Zgadza się. Ale jak to możliwe? Ten koń nikomu nie pozwalał nawet zbliżyć się do siebie, a ty w krótkim czasie osiągasz rezultaty, o jakich nikomu się nie śniło. W czym tkwi twój sekret?

Mallory uśmiechnęła się tajemniczo jak Mona Lisa, czym dodatkowo podsycała jego pragnienie. Każda komórka w jego ciele zdawała się dygotać z pożądania. Głos rozsądku stawał się coraz słabiej słyszalny.

- Bo wierzę w to, co innym wydaje się niemożliwe. Peggy Sue czekała na kogoś takiego jak ja.

Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

- A wiesz, w co ja wierzę? W to, że jak ktoś dokonał czegoś wielkiego, to trzeba to uczcić. Jutro zaczyna się doroczny festyn w

Horseshoe Falls. Zróbmy sobie wolny dzień i jedźmy. Co ty na to?

- Sama nie wiem... Szkoda mi czasu, powinnam trenować Peggy Sue.

- Nie można trenować konia aż tak forsownie - argumentował. -  
Poza tym naprawdę warto zobaczyć nasz lokalny festyn.

- Tak, przecież to jedyna okazja... - powiedziała cicho Mallory.  
Chase poczuł się tak, jakby otwierała się przed nim ziejąca pustką czarna dziura.

- Po twoim wyjeździe zrobi się tu strasznie... spokojnie i nudno.  
Jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić.

- Pora, żebym wróciła do domu, bo teraz tam jest spokojnie i nudno. A może odwiedziłbyś mnie kiedyś? Spodobałoby ci się, a mnie byłoby bardzo przyjemnie gościć cię u siebie.

Zapadła cisza. W ich głowach kłębiły się myśli, których żadne z nich nie wypowiedziałyby na głos.

- To co? Pójdiesz ze mną jutro na festyn?

- Z największą ochotą.

Na twarzy Chase'a pojawił się pełen ulgi uśmiech nastolatka, który właśnie zdołał zaklepać sobie randkę.

- To super! - wyrwało mu się. Popatrzyli sobie w oczy i...  
...i czas się zatrzymał. Mogliby tak stać w nieskończoność, ponieważ na nic więcej nie mogli sobie pozwolić. Stali u bram raj, niestety bez prawa wstępu. Mogli tylko patrzeć.

Jednak męskie ciało ma potrzeby, których nie da się zaspokoić samym patrzeniem.

- Wiem już, że świetnie dajesz buziaki, żeby nie bolało, a co z buziakami na dobranoc? Wiesz, żeby się lepiej spało.

Mallory spłoszyła się. Najwyraźniej nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Przecież nie proszę o dużo - perswadował.

W jej nieziemsko niebieskich oczach dostrzegł nie tylko pragnienie, ale i niezmierną umoc. Mallory bez słowa otworzyła drzwi szerzej, wspięła się na palce i z całą prostotą otoczyła ramieniem szyję Chase'a.

- Nie chciałabym, żeby cię coś zabolalo - szepnęła z troską.

- I tak mnie boli. Boli mnie, że nie mogę cię mieć...

Jej usta miały smak miodu. Pocałował ją mocniej. Mallory poddała się bez oporu. Przytuliła się do niego z głębokim westchnieniem. Poczul miękkość jej ciała, a ona mimowolnie jęknęła z rozkoszą.

To wystarczyło, żeby Chase przestał myśleć i zadziałał instynktownie. Jego dłoń przesunęła się ku górze i zamknęła się na pełnej piersi, a kciuk odnalazł twardy koniuszek. Mallory gwałtownie wciągnęła powietrze i wygięła się do tyłu jak kotka, Chase mógł więc do woli całować jej szyję, a jednocześnie rosło w nim szalone pragnienie, żeby całować ją coraz niżej i niżej.

Poczul, jak przebiegają dreszcz, przyciągnął więc Mallory jeszcze bliżej do siebie, gładząc, pieszcząc i napawając się jej ciałem.

- Chase...

Jej głos dobiegł go jak z ogromnej odległości. Nagle

znieruchomiał z ręką na jej piersi, ponieważ dotarło do niego, co robi. Dotykał kobiety, która dotąd była nietknięta, uczył ją rzeczy, których dotąd nie знаła. Nie powinna ich poznawać z kimś, dla kogo to tylko krótka przygoda. Puścił ją natychmiast i cofnął się.

- Nie wiem, jak to się stało. Przepraszam cię... Podniosła na niego półprzymiotny wzrok.

- Nie przepraszaj. To była lekcja pogładowa - zażartowała blado i spróbowała rozładować napięcie śmiechem, ale nie wypadło to przekonująco. - Teraz nareszcie wiem, czego naprawdę chcę. I czego nie mogę mieć. - Odsunęła się na bezpieczną odległość. - Nie gniewam się, ale to nie może się powtórzyć.

## *ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY*

Tego dnia w Horseshoe Falls zjawiała się cała okolica. Miasteczko było pełne dziewczyn o wytapirowanych włosach i kowbojów w szerokoskrzydłych kapeluszach. Było gwarno, rojno, kolorowo i wesoło.

- Zjesz pańską skórkę? - spytał Chase, przystając przed ulicznym straganem.

Mallory aż zamruwała oczami ze zdziwienia.

- Co mam zjeść? Chase roześmiał się.

- To taki rodzaj cukierka. Bardzo słodki. Kompletnie zakleja.



Straszne paskudztwo.

Przyjęła pozę, którą podpatrzyła u tutejszych dziewczyn - stanęła w lekkim rozkroku, biorąc się pod boki i bujając się na obcasach kowbojskich butów. Buty zostały kupione chwilę wcześniej ze względu na kolor. Były malinowe.

- No to zjem - zdecydowała po namyśle. Odwinęła z kawałka zwykłego papieru coś różowego, spojrzała na to podejrzliwie, ostrożnie ugryzła i... uśmiechnęła się.

- Jadłam podobne cukierki, jak byłam dzieckiem! Uwielbiałam je! Tylko u nas pakuje się je inaczej i są trochę delikatniejsze, ale to prawie to samo.

- No to mamy kolejne wspólne doświadczenie.

- Gdybym nie musiała niedługo wyjechać, pewnie znalazłoby się ich więcej.

Chase nie zareagował na pierwszą część zdania, ponieważ druga natychmiast uruchomiła jego wyobraźnię. Tak, wspólne doświadczenia to było właśnie to, na co miał największą ochotę... Musiał oderwać swoją uwagę od niepożądanych myśli, wskazał więc w głąb ulicy, gdzie znajdowały się główne atrakcje.

- Wy też się tak bawicie?

- Podobnie. Też mamy swoje doroczne święto, ale zamiast piwa pijemy wino, a zamiast rodeo urządzamy zawody sportowe. I wielką paradę. Wszyscy notable, ubrani w tradycyjne stroje, jadą w powozach i karocach, konie mają pióropusze. Turyści przyjeżdżają z całego świata, żeby zobaczyć nasze słynne żywe obrazy.

- Żywe obrazy?

- To takie inscenizacje. Na specjalnych platformach jadą grapy ludzi ubranych w stroje z epoki. Każda grapa jest upozowana w jakąś scenę, a kolejne sceny układają się w całą historię. Oczywiście jest to narwhaliańska legenda o jednoroźcu.

Znowu jednoroźce i legendy. Dziwni są ci Narwhalianie. Nie chciał tego słuchać, więc pospiesznie wskazał na kolejny kramik i zaproponował świeżą lemoniadę. Mallory skinęła głową, ale gdy zamówił dwie, dotknęła jego ramienia i poprosiła:

- Weźmy jedną na spólkę.

Popatrzył na jej usta i pomyślał, że jej szminka odciśnie się na brzegu tego samego kubka, z którego i on będzie pił. I o tym, że te same kostki lodu będą dotykać ich warg, jakby przenosiły pocałunki.

Zamówił największą lemoniadę, żeby trwało to jak najdłużej.

- Mmm, pycha. - Mallory oblizwała usta i podała kubek Chase'owi.

- Coraz bardziej mi się podoba na tym waszym festynie.

- Rzeczywiście, całkiem tu fajnie. Już zdążyłem zapomnieć.

- Nie bywasz tu co roku? - zdziwiła się.

- Jakoś ostatnio się nie zdarzyło - odparł wymijająco, nie zamierzając jej wtajemniczać w powody, dla których stracił ochotę na wszelkie zabawy. Aby uniknąć dalszych pytań, wskazał na kolejną górską. Dziewczyny piszczały, muzyka grała, wagoniki spadały w dół z ogłuszającym hałasem, włosy fruwały wokół podekscytowanych twarzy, ludźmi rzucało na boki na każdym ostrym zakręcie. - To jest to, co kiedyś lubiłem najbardziej. Teraz nic z tego, jestem zbyt obolały.

- Każdy ból kiedyś mija, Chase - powiedziała z powagą.

Spojrzał na nią badawczo. Czy wiedziała, że jej słowa brzmią jak proroctwo? Gdyby jeszcze jakiś czas temu powiedział mu to ktoś inny, Chase tylko by się zachnął. Ale gdy mówiła to Mallory, na samym dnie jego serca nieśmiało budziła się nadzieja. Może i dla niego była jeszcze jakaś szansa? Jakaś przyszłość?

Poszli dalej i przypadkiem natknęli się na karuzelę dla dzieci. Właśnie przystanęła i kolejni rodzice wsadzali swoje pociechy do kolorowych samolocików. Jakaś rozentuzjowana dziewczynka pomachała wesoło ręką do Chase'a i Mallory. Serce mu się ścisnęło. Bez zastanowienia objął Mallory w talii i zaczepił kciuk o szlufkę jej dżinsów. Od razu zrobiło mu się lepiej.

Mallory zerknęła na niego, po czym miękko przytuliła się do jego boku, jakby właśnie tam było jej miejsce. Zrobiło mu się jeszcze lepiej. Tak, właśnie tego potrzebował, właśnie tego mu brakowało od lat.

Odwrócili się i poszli dalej, mijając po drodze gabinet krzywych luster, beczkę śmiechu i całą masę innych atrakcji. Zatrzymali się u stóp ogromnego diabelskiego młyna. Zapadał już zmierzch, powoli zaczynały zapalać się lampy i jarzyć neony.

Mallory podniosła głowę i spojrzała na huśtającą się na samej górze gondolę.

- Stamtąd mogłabym zobaczyć wszystko. Chase natychmiast kupił dwa bilety.

- Wszystko może nie, ale kawałek Wyomingu na pewno - powiedział z uśmiechem.

Wyrzucili do kosza pusty kubek po lemoniadzie, wskoczyli do gondoli i usiedli na wyściełanym siedzisku z czerwonego skaju. Kiedy pracownik wesołego miasteczka zamknął barierkę zabezpieczającą, Chase poczuł się tak, jakby znaleźli się zupełnie sami, kompletnie odcięci od świata.

Koło obróciło się nieco i zatrzymało, żeby kolejni chętni mogli zająć miejsca w następnej gondoli. Mallory pobladła i mocno wtuliła się w siedzenie.

- Nie wiem, czemu się zgodziłam. Strasznie się boję takich rzeczy.

- Ty? Nigdy bym nie przypuszczał, że w ogóle czegoś się boisz. Zaśmiała się cicho.

- Chyba mnie przeceniasz.

- Wcale nie. Przecież widziałem, że nawet nie drgniesz, jak Peggy Sue zaczyna szaleć. Każdy na twoim miejscu dawno by zwiął.

Znajdowali się już w połowie wysokości diabelskiego młyna. Wiało coraz mocniej. Mallory kurczowo zacisnęła palce na barierce i zaryzykowała rzut oka w dół. Wiatr zwiął jej na policzek pasmo jasnych włosów, ale nie odgarnęła ich. Nie śmiała puścić się barierki. Wtedy Chase wyciągnął rękę i delikatnie założył jej włosy za ucho. Odwróciła ku niemu głowę i uśmiechnęła się w podziękowaniu.

Coś go chwyciło za serce.

- Jest wiele rzeczy, których się boję - wyznała. Gondola zatrzymała się znowu, tym razem przed samym szczytem, i zaczęła mocno się kołysać. Chase odruchowo przysunął się bliżej i opiekuńczo

objął Mallory ramieniem. - Boję się, że nie uda mi się osiągnąć aż takiego postępu z Peggy Sue, jak bym chciała. Boję się, że mój tata umrze. Boję się, że nie dam sobie rady, kiedy zostanę sama. Tata chce, żebym przejęła przedsiębiorstwo, a to mnie przeraża. Oczywiście nikomu się do tego nie przyznałam... Jak dotąd. - Przytuliła się do Chase'a z westchnieniem. - Kocham mojego ojca. Jeśli rzeczywiście jestem odważna, to tylko dzięki niemu. To on mnie wszystkiego nauczył. Dlatego muszę zrobić coś absolutnie wyjątkowego. Bardzo tego pragnę.

Diabelski młyn znowu zaczął powoli się przesuwać.

- I stąd ten pomysł z prezentem? - wywnioskował. - Szukasz nietypowego konia, żeby twój ojciec miał rozrywkę.

Zatrzymali się na szczycie.

- Nie, tu chodzi o coś znacznie ważniejszego. Chcę, żeby w tych ostatnich chwilach był szczęśliwy.

W tych ostatnich chwilach... Natychmiast opadły go wspomnienia, które zazwyczaj uparcie od siebie odsuwał: pluszowy konik z włóczkową grzywą, wystrzępiony żółty kocyk, sukienka z czerwonego aksamitu. To dziwne, że będąc twardym facetem, pamiętał wyłącznie rzeczy miękkie i delikatne, podatne na zniszczenie...

- Jako ojciec... - Odchrząknął z trudem. - To znaczy jestem w stanie zgadnąć, co uszczęśliwi go najbardziej. To, że ty będziesz szczęśliwa.

- Wiem. Często mi to powtarza. - Mallory, czując się bezpiecznie w jego objęciach, rozejrzała się dookoła już bez strachu. - Ale czuję

potrzebę, żeby dać tacie coś więcej.

- Rozumiem.

Obróciła się ku niemu i lekko oparła dłoń na jego szerokiej piersi. Po lewej stronie.

- Mam nadzieję... jestem pewna, że któregoś dnia zrozumiesz wszystko.

Nagle czar chwili prysł, ponieważ młyn drgnął ponownie i zjechali na dół. Wszystkie miejsca zostały zajęte. Młyn nabrał rozpędu i lecieli teraz w górę i w dół, w górę i w dół.

Raz do nieba, raz do piekła, pomyślał Chase. Na górze przestrzeń, wiatr i tylko oni dwoje, na dole setki ludzi, hałas, krzątania... Samo życie.

Po kilku minutach młyn zwolnił i znów zaczął przystawać, żeby ludzie mogli wysiąść. Mallory zmarkotniała, Chase'a również ogarnął żal. Piękny beztroski dzień dobiegał końca. Powinni wracać na ranczo.

- Dziękuję. Za wszystko - szepnęła, gdy ich gondola ostatni raz zatrzymała się w powietrzu. - Za ten dzień, za przejażdżkę, za rozmowę. Za to, że mogę ci wszystko powiedzieć. I że mogę ci ufać.

W odczuciu Chase'a sprawy znowu zbaczały w niebezpiecznym kierunku, więc na wszelki wypadek roześmiał się - może nieco zbyt głośno - i skwitował cierpko:

- Mówisz tak, jakbyś się naoglądała za dużo amerykańskich filmów.

Zauważył, że trochę ją to zabolowało. Nic jednak nie powiedziała, a gdy chwilę później wysiadali z gondoli, najzwyczajniej w świecie

wzięła go za rękę. I znowu poczuł się dobrze.

Trzymając się za rękę, szli do samochodu niespiesznym krokiem. Nagle Chase zrozumiał, że oboje próbują wyzyskać czas do ostatniej chwili. Ten czas, który biegł nieubłaganie, przybliżając moment rozstania. Nie mogli nic na to poradzić, pozostało im tylko uzbierać i ocalić garść pięknych wspomnień.

- Wiesz co? Chodźmy przez główną ulicę - zaproponował, zażenowany jak nastolatek na pierwszej randce. - Tam też powinno się coś dziać.

I rzeczywiście, działo się.

Ulicę zagrodzono, sklepy pozamykano, tylko dwa barybyły otwarte. Między latarniami przeciągnięto sznury kolorowych lampek, które świeciły wesoło na tle ciemnogramatowego nieba. Z głośników dobiegało szalone boogie-woogie, a na ulicy tańczył rozbawiony tłum. Ludzie popijali piwo prosto z butelek.

Mallory stanęła przy krawężniku i przyglądała się temu zafascynowana.

- Umiesz tańczyć? - zagadnął Chase.

- Oczywiście. Mój tata zadbał o to. Brałam lekcje tańca towarzyskiego. Mogę tańczyć choćby i całą noc - odparła z dumą.

Chase pokiwał głową.

- My też lubimy tańce towarzyskie, chociaż tańczymy je po swojemu.

Jak na zamówienie z głośników popłynęły dźwięki sentymentalnej ballady country.

- O, to jest muzyka, jak trzeba - oznajmił z aprobatą Chase. -  
Zatańczymy?

Mallory zawahała się, a potem śmiało zeszła z krawężnika na ulicę. W końcu to jedyna szansa na taniec z kimś takim jak Chase, czyli z prawdziwym mężczyzną. W swoim życiu przetańczyła już całe godziny w objęciach starych nudziarzy i młodych czarusiów. Pora na coś prawdziwego.

Odwróciła się w jego stronę, powściągliwie położyła lewą dłoń na jego barku i z wdziękiem uniosła prawą - dokładnie tak, jak ją tego nauczyła.

Przez twarz Chase'a przemknął wyraz rozbawienia.

- Takie rzeczy to nie tutaj, złotko.

Ujął jej dłonie i nieznacznie krzywiąc się z bólu, splótł je sobie na karku, a następnie objął Mallory w tali i mocno przygarnął do siebie.

- Nie tak blisko - wyszeptała ze zgrozą, próbując się od niego odsunąć. - Przecież ludzie patrzą!

Chase zachichotał.

- Co ty? Są zajęci tym samym.

Dyskretnie zerknęła ponad jego ramieniem. Wyglądało na to, że w Horseshoe Falls rzeczywiście tańczyło się wolne tańce w taki sposób. Uspokojona, ufnie wtuliła się w ciepłe objęcia i miękko poddała się słodkiej, kołyszącej melodii. Bezwiednie przesunęła palcami po kołnierzyku jego koszuli - tej samej, którą mu uprała przed kilkoma dniami. Pamiętała, że najniższy zatrzask jest uszkodzony, a



metka obcięta, widocznie musiała mu przeszkadzać. Dziwnie było znać takie szczegóły dotyczące życia obcego mężczyzny.

Chase pochylił głowę. Szerokie rondo jego kapelusza zasłoniło kolorowe lampki i rzuciło cień na twarz Mallory. Przymknęła oczy, oparta głowę na jego piersi i pozwoliła się ponieść uczuciom, którym do tej pory próbowała się przeciwstawiać.

Jeszcze przy nikim nie czuła się tak jak przy nim. Tak dobrze. I tak bezpiecznie.

Jej ojciec nie mógł zrozumieć, czemu konsekwentnie trzymała wszystkich adoratorów na dystans. Powtarzał, że nic nie może dać człowiekowi większej radości niż udany związek. Mallory wierzyła mu bez zastrzeżeń, ale zachowywała czystość w nadziei na spełnienie tego, o czym mówiła jej ukochana legenda. Od dziecka marzyła o tym, by spotkać i uratować jednoroźca.

A teraz w jej życiu pojawił się wyjątkowy mężczyzna, kochający konie, niezależny od nikogo, prawy, z zasadami. Tacie by się podobał... Ta myśl spowodowała, że i jej Chase podobał się jeszcze bardziej.

Nagle ktoś z całej siły klepnął Chase'a po ramieniu. Aż syknął z bólu.

- Miło cię widzieć, stary! - zahuczał jowialny głos. - A jeszcze lepiej widzieć, że znowu się bawisz!

Chase obrócił się i z uśmiechem wyciągnął rękę na przywitanie. Drugim ramieniem wciąż opasywał talię Mallory.

- Cześć, Grant.

- Ostatni raz, gdy cię widziałem na festynie, tańczyłaś ze Skylar.

Mallory poczuła, jak Chase zeszywniał. Kątem oka zauważyła też, że zacisnął szczęki, a uśmiech znikł z jego twarzy. Dobroduszny znajomy nie był chyba specjalnie bystry, ponieważ niczego nie spostrzegł.

- A to kto? - spytał bezceremonialnie.

- Mallory Chevalle. Przyjechała na parę dni, żeby wybrać coś do swojej stadniny. Mallory, to jest Grant Maxwell, który handluje bydłem i końmi. Kto wie, może miałby wierzchowca dla ciebie? - zażartował bez przekonania.

- Tak, pociągowego - skwitował ze śmiechem Grant. - No, bywaj, stary. Dobrze, że znów wracasz między ludzi. - Mocno uścisnął dłoń Chase'a i porozumiewawczo mrugnął do Mallory. - Opiekuj się nim dobrze, słyszysz?

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Coś się zmieniło. Chase zatańczył z nią co prawda jeszcze kilka wolnych kawałków, ale potem zaproponował powrót do domu, tłumacząc się bólem żeber. Ponieważ nigdy dotąd na nic się nie skarżył, Mallory domyśliła się, że to tylko pretekst.

Gdy odchodzili, z żalem zerknęła po raz ostatni na tańczące pary. Odniosła wrażenie, jakby na tej zwyczajnej małomiasteczkowej ulicy zostawiła jakąś część swojego serca.

Nigdy przedtem nie tańczyła na asfalcie, zawsze na błyszczącym parkiecie. Nigdy przedtem nie tańczyła przy świetle kolorowych lampek, zawsze w blasku kryształowych żyrandoli. Nigdy przedtem...

Zrobiło się jej chłodno.

- Szkoda, że nie wzięłam żakietu - westchnęła. Chase nie odpowiedział. Kiedy znaleźli się na placu, gdzie zostawili samochód, wyciągnął z kąta szoferki rozdartą flanelową koszulę i rzucił ją w stronę Mallory.

- Nic lepszego nie mam - burknął opryskliwie. Popatrzyła z żalem. W głębi duszy liczyła na to, że poczuje wokół siebie jego ramiona. Nie miała pojęcia, co wywołało nagłą zmianę jego zachowania.

- Dziękuję.

Włożyła koszulę, która była na nią o wiele za duża. Naten widok oczy Chase'a przybrały dziwny wyraz. Wyciągnął rękę i poprawił

zawinięty kołnierzyk.

- No i przeze mnie chodzisz w szmatach, moja ty bogata biedulko... - skomentował z zadumą w głosie.

- Nie przeszkadza mi. Cieszę się, że jestem z tobą. Znowu nie odpowiedział, tylko zaczął bawić się kluczykami od samochodu.

- Chase, co się dzieje? - Złapała go za rękę, żeby przestał błądzić myślami gdzieś daleko i skupił się na chwili obecnej, na nich. - Czy coś złego zrobiłam? A może coś powiedziałam?

- Nie, dlaczego? - zdumiał się, a potem mimowolnie spojrzał w stronę, z której dobiegała muzyka.

- Mam wrażenie, że jesteś na mnie zły.

- Na ciebie? - powtórzył z niedowierzaniem. - Nie, jestem zły na siebie. Ciągle próbuję zapomnieć i wciąż mi się nie udaje. A jak już mi się uda, to ktoś mi zaraz przypomni.

- O Skylar? - spytała ostrożnie.

Jego usta wykrzywiły się lekko w jakimś dziwnym uśmiechu.

- Tak. O Skylar - przyznał w końcu.

Mallory poczuła dotkliwe ukłucie zazdrości. Wcale tego nie chciała, ale nic nie mogła na to poradzić.

- To nie jest tak, jak myślisz - powiedział cicho. Zamknął drzwiczki i oparł się łokciami o krawędź skrzyni pikapu.

- A skąd możesz wiedzieć, co ja myślę? - rzuciła z rozdrażnieniem Mallory, ale natychmiast zawstydzila się swojej porywczosci. - Och, przepraszam! Zachowuję się jak nadażana damulka...

- Cśśś! - Położył jej palec na ustach. - Nie mów tak. Nie jesteś żadną damulką i wcale się nie dąsasz. -

Z ociąganiem cofnął rękę. - To ja się wściekam, bo ktoś mi przypomniał o przeszłości. Ale może i dobrze się stało...

Wstrzymała oddech. Zamierzał jej się zwierzyć!

- Skylar była moim skarbem. Moim jedynym dzieckiem.

Urodziła się z wadą serca. Zmarła przed dwoma laty. Miała wtedy trzy latka.

Mallory była w absolutnym szoku. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że miał dziecko. I że je stracił. W jego domu nie znalazła żadnych śladów minionej tragedii.

Nagle dotarło do niej, że skoro miał dziecko, to mógł być także żonaty. Może nawet nadal był...

- Siedem lat temu ożeniłem się z Sharon, dziewczyną z wielkiego miasta, która napaliła się na to, żeby mieć kowboja z Dzikiego Zachodu. No i fajnie. Tyle tylko, że jak dostała zabawkę, to szybko się znudziła. Kiedy zaszła w ciążę, liczyłem, że się zmieni. Myślałem, durny, że zrobiła to dla mnie, dla nas, a dla niej to była wpadka. A jeszcze do tego dziecko urodziło się chore... - Zapatrzył się ponuro w przestrzeń.

Mallory delikatnie położyła dłoń na jego rękę.

- Tak mi przykro, Chase.

Uśmiechnął się samymi ustami, po czym wyprostował się nagle.

- Pora, żebyś nauczyła się prowadzić takie smętne gadki na nasz sposób. - Otworzył drzwiczki samochodu, wyciągnął zza siedzenia

dwie puszkę z piwem, które podał Mallory, i stary zniszczony koc, który wrzucił do skrzyni pikapu. Zatrzasnął drzwiczki, obszedł samochód i opuścił tylną klapę. Skinął na Mallory.

- Jaśnie pani, powóz zajechał.

Wstawiła piwo do skrzyni. Pozwoliła, by ją podsadził i rozłożyła koc na metalowej podłodze. Następnie przyklękła i wyciągnęła rękę do Chase'a. Oczywiście skrzywił się, ponieważ jak zwykle wolałby nie korzystać z niczyjej pomocy, ale nie miał wyjścia. Przyciskając mocno ramię do obolałego boku, nieco niezdarnie wspiął się na skrzynię.

Usiedli, opierając się plecami o tył szoferki, która przesłoniła odbłask miejskich świateł. Przed sobą mieli czarnogranatową ciemność, nad sobą rozgwieżdżone niebo. Chase otworzył puszkę i pociągnął porządny łyk piwa.

- Sharon chciała za dużo, bo jednocześnie chciała mieć twardego kowboja i mieszkać w wielkim mieście, mieć towarzystwo na poziomie plus spore konto w banku. Nie potrafiłem jej tego zapewnić. A tu jeszcze doszło chore dziecko... Ale Sharon okazała się dobrą matką, to trzeba jej przyznać. Tyle tylko, że im bardziej staraliśmy się ze względu na małą, tym mniej mieliśmy cierpliwości do siebie. W końcu nie mogliśmy na siebie patrzeć. Za to ja i Skylar rozumieliśmy się jak nikt. Kochała konie. A na Peggy Sue to po prostu chorowała.

- Chorowała? - powtórzyła ze zdumieniem Mallory. Chyba jednak jej znajomość angielskiego nie była tak dobra, jak jej się wydawało.

- Tak się mówi. Jak ktoś na coś choruje, ale nie dosłownie, to

znaczy, że ma fioła na jakimś punkcie, że coś uwielbia - tłumaczył cierpliwie. - Mała kochała Peggy Sue na zabój. Zresztą to ona wybrała to imię. Ja nazwałem ją Vanilla, ale był taki znany przebój o ślicznej Peggy Sue i jak mała usłyszała tę piosenkę, to przepadło. Śliczna Peggy Sue i koniec.

- A jak klacz reagowała na dziecko? - spytała ostrożnie Mallory, której ta skomplikowana układanka powoli zaczynała składać się w całość.

- W bardzo wyjątkowy sposób. Jakoś tak delikatnie i opiekuńczo. Może wyczuła jej chorobę? Zwierzęta wyczuwają różne rzeczy... A może to dlatego, że nie sposób było nie kochać Skylar? Wszyscy, ludzie i zwierzęta, do niej lgnęli. Ona była jak słońeczko. Za wcześnie od nas odeszła. Nikt z nas nie był na to gotowy... - Urwał i mocno zacisnął usta.

Mallory nie znajdowała żadnych słów pociechy. Chciała okazać Chase'owi serdeczność i współczucie za pomocą dotyku. Ponieważ siedzieli ramię w ramię i nie mogła położyć dłoni na jego rękę, położyła ją na jego udzie. Chyba pomogło, bo zaczął mówić dalej:

- Kiedy Skylar umarła, nic już nie miało sensu, wszystko się rozsypało. Sharon zażądała rozwodu, bo zakochała się w lekarzu małej. Wyjechała z nim do Denver, a ja zagrzebałem się na ranczu.

Znowu nie zrozumiała.

- Zagrzebałeś się?

- No, odciąłem się od rodziny, znajomych, w ogóle od ludzi. Nic, tylko pracowałem od rana do wieczora. Przez całe życie chyba tyle nie

harowałem, co przez te dwa lata. A czasem rzucałem wszystko w diabły, siodłałem konia, jechałem, gdzie oczy poniosą i wracałem parę dni później. Wtedy Bob odwaliał za mnie całą robotę i nigdy mi nawet słowa nie powiedział.

Ze zrozumieniem pokiwała głową.

- Skylar musiała być cudowną dziewczynką. Chase przez chwilę w milczeniu wpatrywał się przed siebie, a potem sięgnął do kieszeni po portfel. Wyjął z niego zdjęcie i podał je Mallory. Przytrzymała je tak, by padał na nie odblask latarni.

Dziewczynka na fotografii wyglądała jak mały aniołek. Miała długie, jasne włosy skręcone w loczki i przekorny uśmiech Chase'a.

- Podobna do ciebie! - wyrwało się jej. Przez jego twarz przemknął grymas bólu.

- Trochę. Miałem nadzieję, że wyrosnie na kogoś podobnego do ciebie. Na dzielną, mądrą kobietę, pełną życia i radości, serdeczną i ciepłą. I tak by było, bo ten dzieciak miał złote serce. Niestety, za słabe.

Mallory oddała mu fotografię.

- Spróbuj spojrzeć na to inaczej - zaproponowała, starając się z wyczuciem dobierać słowa. - To przecież wielkie szczęście, że pojawiła się w twoim życiu, nawet jeśli tylko na tak krótko.

- Może masz rację. Ale nigdy więcej tego doświadczenia nie powtórzę. Koniec, żadnej rodziny, żadnego angażowania się! - Umilkł na chwilę. - To dotyczy również ciebie. Nawet nie powinienem tu z tobą siedzieć po nocy, opowiadać ci o tym, co się kiedyś wydarzyło,



jak się teraz czuję, jak widzę moją przyszłość...

- A jak widzisz swoją przyszłość? - spytała natychmiast.

- Chcę się skupić na swojej robocie i swoich sprawach. Sam!

I wtedy usłyszał ostatnią odpowiedź, jakiej w tej sytuacji spodziewał się po kobiecie:

- Rozumiem. Chase oniemiał.

- Każde z nas ma własne życie. Ja też mam swoje obowiązki, których nie zamierzam zaniedbać. Nasze ścieżki skrzyżowały się na krótki czas, nic ponadto. - Ze smutnym uśmiechem oparła głowę na jego ramieniu, chociaż lepiej byłoby tego nie robić i nie wystawiać ich postanowień na próbę. - Ale czy to nie dość, że możemy sobie w pełni zaufać, że możemy być przyjaciółmi? Przecież to już i tak bardzo dużo.

Objął ją ramieniem.

- Dużo, ale gdybyś nie była... - zawahał się, po czym powiedział to kłopotliwe słowo: - ...dziewicą, zostalibyśmy jeszcze kochankami.

- Wiem - odparła z całą prostotą, a Chase czule pocałował ją w czoło.

Siedzieli tak i rozmawiali aż do drugiej w nocy. Opowiadali sobie rzeczy smutne i wesołe, z których dotąd nie zwierzali się nikomu. Mallory przyznała się na przykład, jak będąc małą dziewczynką, próbowała wyswatać ojca ze swoją ulubioną nianią, ale nic z tego nie wyszło, bo jego irytowało, że niania panicznie boi się koni.

Gdy to relacjonowała, jej myśli powróciły do sprawy, która aktualnie była dla niej najważniejsza.

- Z tego, co powiedziałaś, wynika, że przy Skylar Peggy Sue

zachowywała się spokojnie i nie była tak narowistą jak teraz. Co zatem się stało?

- Zaniechałem ją - wyznał szczerze Chase. - Przestałem ją trenować. Na jej widok stawała mi przed oczami Skylar. Nie mogłem tego znieść, chciałem zapomnieć! A jednak powinienem był się przemóc, choćby ze względu na pamięć córki. To z mojej winy Peggy Sue jest na pół dzika i z praktycznego punktu widzenia bezwartościowa. Wszyscy mi powtarzają, że bym się jej pozbył, ale nie mogę. One się tak lubiły ze Skylar...

- To dlatego odmówiłeś, kiedy chciałam ją od ciebie kupić!

- Częściowo. Poza tym nie chcę cię narażać na niebezpieczeństwo. Ona potrafi skrzywdzić.

- Przecież widziałeś ją ze mną i wiesz, jak się zachowuje.

Ostrożnie poklepał się po złamanym żebrze.

- Wiem aż za dobrze.

- Chase, rozmawiaj ze mną poważnie!

- W porządku, całkiem nieźle radzisz sobie z tym koniem.

Zadowolona?

- Nie, bo nie chodzi o to, żebyś mnie chwalił, tylko zrobił to, co będzie najlepsze dla Peggy Sue. Jeśli zostawimy sprawy własnemu biegowi, ona umrze. Ale wciąż można jej pomóc i jeśli nam się uda, jest dla niej nadzieja na szczęśliwą przyszłość. Kto wie, może i dla nas też? - dodała z zadumą. - Choć to jednak wcale nie musi być taka przyszłość, jaką byśmy sami dla siebie wybrali - ostrzegła.

# ROZDZIAŁ JEDENASTY

Od festynu w Horseshoe Falls minął tydzień. Chase czuł się coraz lepiej, chociaż czasami ból w boku jeszcze się odzywał. Ważniejsze jednak wydawało się im to, że czuli się znacznie lepiej w swoim towarzystwie. Teraz, gdy wzajemnie sobie zaufali i wspólnie ustalili pewne sprawy, mogli swobodnie się śmiać, żartować, nieustannie ze sobą przebywać, bez obawy, że ulegną pokusie. Choć oczywiście nie było to łatwe.

Tyle rzeczy sprzysięgło się przeciwko nim - ich miejsca zamieszkania dzielił ocean, przeszłość Chase'a zraziła go do stałego związku, uratowanie jednorożca wymagało czystości Mallory - a przecież jednocześnie jakaś potężna siła pchała ich ku sobie i nie chodziło tu tylko o pożądanie. To do Chase'a biegła rankiem jej pierwsza myśl i to z jego obrazem pod powiekami zasypiała wieczorem...

Mallory zdjęła szlafrok, przewiesiła go przez oparcie krzesła i przysiadła na brzegu łóżka. Zza okna dobiegł pełen niechętnego podziwu gwizd. Pewnie Lewt znowu ograł chłopców w karty. W pokoju z kominkiem zadzwonił telefon. To zapewne Bob chciał zdać sprawę, jak było na kolejnym pokazie. Poprawiła poduszkę, zgasła lampkę nocną i pomyślała, że będzie przyjemnie zasypiać, słuchając głosu Chase'a.

Zamiast tego usłyszała szybkie kroki i pukanie do drzwi.

- Proszę! - zawołała.

Zanim zdążyła z powrotem zapalić lampkę, do pokoju wpadł snop światła z korytarza. Chase podał jej telefon bezprzewodowy.

- Do ciebie. Międzynarodowa z Narwhalu.

- Tak? - rzuciła w napięciu do słuchawki.

- Mallory, tu Randolph - odezwał się najbardziej zaufany z doradców Hewitta Chevalle'a. - Przykro mi, jeśli zakłócam ci wakacje, ale uznałem, że powinienem zadzwonić.

Ogarnęło ją złowrogie przeczucie. Mocno chwyciła dłoń Chase'a, który chciał się dyskretnie wycofać.

- Niczego nie zakłócasz, bo zostałam tu dłużej nie dla wypoczynku. Musiałam pomóc przyjacielowi.

Wyczuła, że Chase zachnął się lekko. Nie znosił, gdy traktowano go jak inwalidę.

- Teraz chyba będziesz potrzebna tutaj. Stan twojego ojca pogarsza się. Oczywiście Hewitt nie zamierza cię martwić i ani mu w głowie ściągać cię z powrotem. To ja zdecydowałem, że należy do ciebie zadzwonić. Pomyślałem, że wolałabyś wiedzieć, jak sprawy się mają.

- Słusznie!

- Skoro tak... - Randolph umilkł na chwilę i ta cisza jeszcze bardziej zatrwożyła Mallory. - Moim zdaniem powinnaś wracać natychmiast.

- Aż tak źle?

Usłyszawszy te słowa, Chase usiadł na łóżku. Jego bliskość

podziałała na nią dziwnie kojąco.

- Niestety wygląda to coraz gorzej. Od jakiegoś czasu prawie już nie wstaje z łóżka. Przestał chodzić do biura, wszystkim zarządza z domu.

Mallory zamknęła oczy. Dzwoniła do taty regularnie, ale nigdy się nie zdradził, że choroba poczyniła aż takie postępy.

- Nie miałam pojęcia... Randolph, gdyby nie ty...

- Teraz to nie ja jestem mu potrzebny. Teraz potrzebny jest cud.

Mallory jęknęła.

- Dlatego wysyłam po ciebie samolot, bo tylko ty możesz sprawić ten cud. Sama twoja obecność pomoże Hewittowi.

Gdy zakończyła rozmowę, poczuła się kompletnie zagubiona. Peggy Sue nie była jeszcze gotowa do powrotu, obie potrzebowały więcej czasu! Niestety, czasu już nie było.

- Z moim tatą jest bardzo źle - powiedziała w przestrzeń. - Być może nadchodzi najgorsze... Muszę wracać do domu. Natychmiast.

- Nie martw się, pomożemy ci - odparł uspokajającym tonem Chase i odruchowo poprawił ramiączko jej nocnej koszuli, które zsunęło się swoim zwyczajem. - Zaraz spróbuję zarezerwować ci lot z Denver. Pojadę tam z tobą, żebyś na lotnisku o nic nie musiała się martwić. Ja wszystkiego dopilnuję.

Niecierpliwie machnęła ręką.

- Nie trzeba, w Denver będzie czekał nasz prywatny samolot. - Nawet nie zauważyła jego zdumionej miny, tak bardzo była zajęta swoimi myślami. - Chcę zabrać ze sobą Peggy Sue.

- Co???

- Tam jest jej miejsce. Już ci mówiłam. Chase aż parsknął.

- No wiesz! Twój ojciec jest ciężko chory, a ty się upierasz przy jakimś kaprysie...

- Och, to nie tak! - Zerwała się z łóżka i podeszła do krzesła, na którym powiesiła szlafrok. Chase śledził ją głodnym wzrokiem, ale i na to nie zwróciła uwagi. Ubrała się szybko i zawiązała pasek. Pozbierała się już i mogła działać zdecydowanie. - Chodźmy do kuchni, zrobię kawę i porozmawiamy. Mamy mało czasu, jutro wyjeżdżam. Muszę się spakować, przygotować Peggy Sue...

Nie wytrzymał. Teraz on zerwał się z łóżka, podszedł do niej, chwycił ją za ramię i odwrócił w swoją stronę.

- Wbiłaś sobie do głowy, że ją stąd zabierzesz i w ogóle nic do ciebie nie dociera! Czemu tak diabelnie ci na tym zależy?

- Tam jest jej dom, jej prawdziwa ojczyzna - odparła z niezachwianym przekonaniem. - Chase, ja wiem, ile ona dla ciebie znaczy i jak trudne będzie dla ciebie to rozstanie, ale jej dobro jest ważniejsze. Widzisz, nie powiedziałam ci jeszcze wszystkiego... To długa historia, a twoja córka odgrywa w niej pewną rolę. Gdyby nie Skylar, Peggy Sue prawdopodobnie nie przeżyłaby w niewoli.

Jego ręka opadła.

- Ile razy mi się wydaje, że zaczynam cię rozumieć, zawsze powiesz coś tak szalonego...

- Proszę, chodźmy do kuchni, spróbuję ci wszystko wytłumaczyć. Z rezygnacją poszedł za nią. Nastawiła ekspres do kawy i usiadła

po przeciwnej stronie stołu niż Chase, który zaczął bujać się na krześle.

- Mój pradziadek był armatorem. Miał wspólnika, z którym założyli firmę żeglugową, a ona przyniosła krociowe zyski. Wprawdzie wspólnicy działali sobie na nerwy, ale ponieważ interes prosperował świetnie, znosili się jakoś. Pradziadek nabył rozległą posesję, wybudował dom i założył hodowlę koni. Nie bez znaczenia jest tu fakt, że nasza rodzinna posiadłość znajduje się na terenie legendarnej krainy jednoroźców.

Chase ze śmiechem pokręcił głową, lecz Mallory z godnością zignorowała jego reakcję.

- Pradziadek zdołał wyhodować pewną szczególną rasę koni, kiedyś jedną z najwyżej cenionych na świecie. Kiedyś, bo ta rasa już nie istnieje.

- Co to za rasa? - zainteresował się.

- Cornelle. Zwierzęta wywodziły się od jednoroźców, dlatego w dużym stopniu je przypominały. Jasne umaszczenie, przechodzące na zadzie w popielate lub szare, biała grzywa i biały ogon, sierść jedwabista w dotyku. Drobnej budowy, lecz zdumiewająco silne. I wyraźna narośl na czole, jakby niewielki róg.

Chase przestał bujać się na krześle.

- Było ich zaledwie kilkanaście. Pradziadek wysłał je na wystawę do Stanów pod opieką wspólnika, podobnie jak ty wysyłasz Boba Llewelyna ze swoimi końmi. W tym czasie pradziadek dokonał transakcji, która do tego stopnia rozwścieczyła jego wspólnika, że ostatecznie zerwał współpracę. Co gorsza, wywiózł konie w Góry

Skaliste i puścił je wolno. To był akt czystej zemsty.

- Co ty pleciesz? W Górach Skalistych są tylko mustangi, nie ma żadnych innych koni!

Uśmiechnęła się tylko.

- Ale były. Nasze konie mieszały się z mustangami. Dlatego w żyłach któregoś z obecnie żyjących dzikich koni może płynąć krew rasy Cornelle.

- Czy próbujesz mi dowieść...

- Że Peggy Sue jest jednorożcem? Tak.

Chase zachnął się z furją. Mallory nawet nie mrugnęła okiem.

- Odkąd konie rasy Cornelle zostały wywiezione i zaginęły, na moją rodzinę zaczęły spadać same nieszczęścia. Niestety nie finansowe, co byłoby najłatwiejsze do zniesienia. Nie będę wchodzić w szczegóły, jeśli pozwolisz. Wydaje się, jakby ciążyła na nas klątwa. Legenda mówi, że ten, kto uwolni jednorożca, zostanie uleczony ze wszystkich cierpień i spłynie na niego błogosławieństwo. Mój ojciec i ja wierzymy w tę przepowiednię. Podobno w górach wyspy wciąż żyją jednorożce, ale są wolne i nie uczyniliśmy im żadnej krzywdy. Może nam pomóc tylko sprowadzenie z powrotem do ojczyzny potomka rasy Cornelle, która wyginęła z naszej winy.

Chase odsunął się od stołu, wstał, sięgnął po kubek i nalał sobie świeżo zaparzonej kawy.

- Zgłoś się na konkurs opowiadania bajek - doradził cierpko. - I puknij się w głowę, jeśli naprawdę myślisz, że jakaś znarowiona klacz rozwiąże twoje problemy i wyleczy twojego ojca. - Z nieskrywaną



irytacją pociągnął spory łyk prawie wrzącej kawy i skrzywił się niemiłosiernie.

- Znarowiona? Chase, ona szaleje, bo zabrakło Skylar!

Jednorożce kochają wszystko, co czyste, piękne i niewinne, potrzebują tego do życia jak wody i powietrza! Nie widzisz związku? Obecność twojej córki dawała Peggy Sue siłę do przetrwania w niewoli. Marnieje, odkąd nie ma się z kim związać. Dlatego choćbyś nie wiem jak się starał, nic byś z nią nie wskórał. Tymczasem ja mogę jej pomóc, specjalnie po to tu przyjechałam. Wiedziałam, że ona tu jest. Bob opisał mi ją ze szczegółami, domyśliłam się natychmiast.

Chase tak gwałtownie postawił kubek na stole, że kawa chlupnęła na blat.

- Proszę, zrozum mnie - poprosiła błagalnym tonem Mallory. - Sprzedaj mi ją. Pozwól mi ją stąd zabrać! Nawet jeśli nie mam racji, nawet jeśli ona nie odżyje w ojczyźnie i nie wyleczy mojego ojca, to i tak uszczęśliwi go w tych ostatnich chwilach. Wiem, że to dla ciebie trudne, ale zrób to dla ciężko chorego człowieka.

- Nie, Mallory, nie sprzedam ci jej.

Poczuła się tak, jakby ogłosił wyrok skazujący. Dla nich wszystkich.

- Ja ci ją dam. Ze względu na dobro twojego ojca i na pamięć mojej córki.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Rozstanie z Chase'em okazało się najtrudniejszą rzeczą w jej życiu. Przyjechali do Denver dwoma samochodami - Mallory swoim czerwonym kabrioletem, a Chase pikapem z przyczepą do przewozu koni, w której znajdowała się Peggy Sue. W umówionym miejscu czekał na nich Randolph z kilkoma pomocnikami i specjalnie przygotowanym boksem na kółkach. Mallory przeprowadziła do niego klacz, następnie przetransportowano go na lotnisko i wstawiono do ładowni prywatnego odrzutowca. Pozostało tylko się pożegnać.

- Dziękuję ci za wszystko - powiedziała Mallory, odwracając się plecami do czekającego samolotu. - Obiecuję, że będę o nią dbać. Dla mnie ona też jest bezcenna. Tobie Peggy Sue przypomina Skylar, mnie będzie przypominać ciebie.

Chase tak mocno zacisnął zęby, że aż mięsień zadrgał mu na policzku.

- Pomyśl też o mnie, jak następnym razem wsiądziesz na diabelski młyn. W końcu jestem pierwszym facetem, który zabrał cię do samego nieba.

Serce ścisnęło się jej boleśnie, a pod powiekami zapiekły łzy.

- Pomyślę - obiecała zdławionym głosem. Nie wytrzymała i czule pogładziła go po policzku. - Chciałam zostawić ci coś na pamiątkę, żebyś i ty mógł mnie czasem wspominać, ale nic mi nie przyszło do głowy. Najlepsze byłyby te różowe buty, na których kupno mnie

namówiłeś podczas festynu, ale nie potrafiłam się z nimi rozstać... -  
Stała w podpatrzonej kowbojskiej pozie i zakołysała się na obcasach.  
- Zrobię w nich furorę - zażartowała blado, a on spróbował się  
roześmiać, ale mu nie wyszło.

Ujrzała smutek w jego oczach, więc zapragnęła go pocałować -  
„żeby nie bolało” - nie odważyła się jednak przy tylu świadkach.  
Wspięła się na palce i tylko przesunęła wargami po jego policzku. Nic  
więcej, a przecież tyle w tym było uczucia...

- Przyślę ci prezent z Narwhalu.

- Jaki? Butelkę francuskiego wina i kosz serów? - zażartował  
blado, a ona spróbowała się roześmiać, ale i jej nie wyszło.

- Nie. Coś specjalnego. Prawdziwy dar serca, taki jak twój dla  
mnie. Moja ukochana klacz, Gwiazdka, w zeszłym roku urodziła swoje  
pierwsze źrebię. Kwazar jest przepięknym, czystej krwi anglikiem po  
rodzicach czempionach. Wyrośnie na wspaniałego ogiera.

- Nie mogę przyjąć takiego prezentu!

- Żegnaj, Chase - powiedziała, nie zważając na jego protest. -  
Nigdy nie przestanę cię... - Już miała na końcu języka słowo „kochać”,  
ale powstrzymała się w ostatniej chwili i dokończyła: - ...dobrze  
wspominać. - Cofnęła się o krok, mając przy tym wrażenie, jakby ktoś  
wydzierał jej serce z piersi. - Mam nadzieję, że kiedyś zechcesz mnie  
odwiedzić i pozwolisz mi zrewanżować się za twoją gościnność.  
Będziesz bardzo mile widziany.

Odwróciła się na pięcie i pobiegła do czekającego na nią  
samolotu.

Gdy weszła do sypialni, ojciec siedział w fotelu otulony pledem, przerażająco blady i wychudzony. Jego przygaszone oczy rozblęły na widok córki.

- Tatku, powinienes był mi powiedzieć - zganiała go łagodnie, obejmując i całując w policzek.

Uśmiechnął się z przekorą.

- Nie miałem serca psuć ci wyjazdu. Ilekroć rozmawialiśmy, wydawałaś się taka szczęśliwa. Nie wiem tylko, czy bardziej cieszyło cię to ranczo, czy ów kowboj, o którym wspominałaś tak ciepło... - Zawiesił głos i przyjrzał się jej uważnie.

- Ranczo jak ranczo, kowboj jak kowboj - wykręciła się. - Znacznie ważniejsze jest to, co ci stamtąd przywiozłam!

- A co to takiego? Siodło nabijane srebrem? Szeroko-skrzydły kapelusz?

- Zaraz zobaczysz. Zabieram cię na spacer. - Podeszła do stojącego w kącie fotela inwalidzkiego i przysunęła go do ojca, ale on potrząsnął głową.

- Nie mam już siły opuszczać pokoju.

- Chyba żartujesz! To ja lecę do ciebie przez pół świata, a ty nawet nie chcesz mi zrobić tej małej przyjemności?

- Ja nie chcę ci zrobić przyjemności? - zdziwił się, odsuwając pled i z trudem przesiadając się z jednego fotela na drugi. - Rozpieszczam cię, jak tylko mogę, a ty nawet nie ulitujesz się nad starym, biednym ojcem - przekomarzał się.

- Pewnie, że się nie ulituję! - Troskliwie okryła go pledem i

zawiozła do stajni. - Pamiętasz, pojechałam do Wyomingu, bo pewien człowiek na pokazie w Kalifornii opowiedział mi o klaczy, która wyglądała jak z rasy Cornelle. Tato, ja ją znalazłam! - wyznała podekscytowana.

Ojciec nic nie odpowiedział, ale jego dłonie kurczowo zacisnęły się na poręczach. Mallory ustawiła fotel na środku stajni, podeszła do zamkniętego wysokiego boksu i otworzyła górne drzwiczki. Peggy Sue natychmiast wysunęła kształtny łeb i zarżała donośnie.

Twarz Hewitta Chevalle'a rozjaśniła się w promiennym uśmiechu. Mallory odsunęła mlecznobiałą grzywę klaczy, żeby ojciec mógł zobaczyć zgrubienie w kształcie małego rogu na czole zwierzęcia.

- Jej matka, hodowlany Czempion, uciekła z mustangami w góry, a gdy ją odnaleziono, miała źrebiątko.

- Które po ojcu odziedziczyło krew rasy Cornelle - dopowiedział ojciec. Chciał wstać z fotela, lecz Peggy Sue natychmiast wściekle zarzuciła głową, więc z rezygnacją usiadł z powrotem. - Nie jestem niewinną dziewczyną, więc nie dasz mi się dotknąć, tak? Okazałabyś serce staremu, umierającemu człowiekowi, który przez całe życie pragnął cię odnaleźć... Chciałbym tylko poczuć dotyk twojej grzywy.

- Oprzyj się na moim ramieniu, tato, a ja ją przytrzymam - zaofiarowała się Mallory. - W ten sposób uda się spełnić twoje życzenie.

Pomogła ojcu wstać i łagodnie przytrzymała Peggy Sue za kantar. Hewitt Chevalle pogładził wychudzoną dłonią szyję klaczy, a potem

zanurzył palce w cudownie jedwabistej grzywie.

- Trzeba ją wypuścić - zdecydował nagle. - Ty i ja, ostatni z rodu Chevalle'ów, musimy zabrać ją na łąkę jednoroźców i puścić wolno.

- Ależ, tato! Czy nie wystarczy, że wróciła do domu? -  
zaprotestowała Mallory, która nie miała najmniejszej ochoty rozstawać się z Peggy Sue.

- Nie. Ona musi odzyskać wolność. Natychmiast.  
- Poczekajmy, aż się lepiej poczujesz.  
- Dość się naczekałem przez te wszystkie lata. Zbiorę wszystkie siły, jakie mi jeszcze zostały.

Mallory spełniła wolę ojca. Przywiązała lonżę do kantara, otworzyła dolne drzwi i ostrożnie wyprowadziła Peggy Sue z boksu. Nie miała pojęcia, jak zwierzę zachowa się w nowym otoczeniu. Na szczęście klacz zdawała się wszystko rozumieć. Powoli stąpała u boku Mallory, razem z nią potulnie przystając co kilkanaście kroków, by Hewitt Chevalle mógł złapać oddech. Zostawił fotel w stajni i szedł z ogromnym wysiłkiem w kierunku bramy wiodącej do legendarnej krainy jednoroźców.

W końcu zatrzymali się. Mallory otworzyła bramę i popatrzyła na ogromną łąkę, która rozciągała się aż do podnóża odległych gór.

- Możemy jej już nigdy nie zobaczyć - zauważyła z żalem.  
Ojciec pogłaskał szyję Peggy Sue, a ta odsunęła się niechętnie. Wyraźnie nie życzyła sobie, by dotykał jej ktokolwiek poza Mallory.-  
Tam, gdzie jest miłość, nie ma rozstań na zawsze - zapewnił Hewitt, a jego córka z ciężkim sercem zdjęła Peggy Sue kantar.

Klacz pomknęła przed siebie jak strzała. Mallory śledziła ją wzrokiem, dręczona myślą, że w ten sposób zdradziła Chase'a. Obiecała mu przecież, że będzie dbać o ich ukochanego konia...

Chociaż fizycznie Hewitt Chevalle nie czuł się ani trochę lepiej, zrobiło mu się zdecydowanie lżej na sercu. Beztrąsko zostawił na noc otwarte drzwi balkonowe, chociaż lekarz na pewno zganiłby takie postępowanie. Jego jednak nie obchodziło, czy chłodne i wilgotne powietrze mu nie zaszkodzi. Nie chciał się już zamykać w pokoju, odczuwał dojmującą potrzebę przestrzeni i swobody. Może to przez tego jednoroźca, którego z Mallory wypuścili na wolność?

Nad ranem obudziło go głuchoe stukanie kopyta o drewno. Czasem konie zachowywały się niespokojnie, więc nie zdziwiło go to, nie rozumiał jednak, czemu żaden ze stajennych nie reaguje na hałas. W końcu odgłos uporczywego stukania stał się nie do zniesienia. Hewitt z niemalym trudem wstał z łóżka i wyszedł na balkon, żeby sprawdzić, co się dzieje. Pod bramą stała Peggy Sue.

- Ach, to z ciebie takie uparte stworzenie? - zapytał z uśmiechem.

Klacz zarżała i niecierpliwie potrząsnęła łbem. Hewitt Chevalle nałożył jedwabny szlafrok i wyszedł na dwór. Oczywiście, zajęło mu to trochę czasu i kosztowało wiele wysiłku, ale nie przepuściłby okazji spotkania się z jednoroźcem jeszcze raz.

Tym razem zwierzę zdawało się nastrojone nieco przyjaźniej, chociaż znowu nie pozwoliło mu się dotknąć, gdy próbował pogłodzić róg na czole. Dziwne, wydawało mu się, że przedtem był trochę

krótszy.

Peggy Sue odeszła parę kroków dalej i obejrzała się zapraszająco.

- O co chodzi? Mam iść z tobą? - Hewitt otworzył bramę i znalazł się na łące, na której już od dawna nie był, chociaż zaczynała się tak blisko domu. Miał zbyt wiele obowiązków, żeby pozwalać sobie na spacer. - Daleko z tobą nie pójdę, jestem stary i chory - uprzedził.

Jednorożec ze zdumiewającą cierpliwością prowadził go w głąb łąki, przystając co chwilę, żeby schorowany człowiek mógł odpocząć. W odległości około czterystu metrów od bramy znajdowała się kotlinka. Hewitt pamiętał to miejsce, bawił się tu jako dziecko. Wtedy było tu źródło i niewielkie jezioro, jednak z czasem źródło wyschło, wody zaczęło ubywać, aż w końcu został tylko nieco podmiękły grunt.

- A, pewnie pić ci się chce... - zaczął domyślnym tonem i nagle zaniemówił.

Miał przed sobą taki sam widok, jak w dzieciństwie: ze skały wypływała woda i spadała kaskadą do krystalicznie czystego jeziora.

- A niech mnie... - wymamrotał oszołomiony, schodząc po kamieniach.

Zrzucił znienawidzone kaptcie i zanurzył stopę w wodzie.

- Ciepła! - zdumiał się i niewiele myśląc, ściągnął z siebie szlafrok i piżamę. - Uznają mnie za kompletnego dziwaka, ale co mi tam! Przynajmniej umrę szczęśliwy.

Nie dość, że nie umarł, to jeszcze wyraźnie odżył. Dokuczający mu nieustannie ból trochę zelżał, a ruchy stały się odrobinę



sprawniejsze. Za dnia zaprowadził córkę nad jeziorko.

- Przyszedłeś tutaj sam? O piątej rano? Żeby się wymoczyć? -  
Mallory patrzyła na niego jak na szaleńca.

- Nie sam, tylko z jednorożcem, którego przywiozłaś. Dziecko, tu od lat nie było wody! To jest cudowne źródło, ono leczy. Taka kąpiel nie mogła mi zaszkodzić. Wręcz przeciwnie.

- Cudowne źródło? Tatku, co ty opowiadasz? Po prostu podniósł się poziom wód gruntowych.

Ojciec zganiał ją wzrokiem.

- Jak możesz być takim niedowiarkiem? Właśnie ty, która udowodniłaś prawdziwość legendy! Przecież wiesz, że jednorożec potrafi uderzeniem kopyt otworzyć źródło w ziemi. Mów więc sobie, co chcesz, ale będę tu przychodzić co rano i korzystać z tego daru.

Tydzień później fotel inwalidzki stał się kompletnie niepotrzebny, a dziesiątego dnia Hewitt Chevalle postanowił pojechać do swojego biura. Zanim wsiadł do limuzyny, rzucił z uśmiechem do Mallory:

- Przywiozłaś mi jednorożca i dar zdrowia, trzeba było przywieźć i tego kowboja. Chciałbym mu podziękować!

Pomachała mu na pożegnanie, ale nic nie odpowiedziała. Nie, nigdy nie zdradzi się przed ojcem, czego musiała się wyrzec, by odzyskał zdrowie. Wyrzeczenie dotyczyło nie tylko Chase'a, ale rozciągało się na całą przyszłość. Mallory musiała pozostać samotna do końca życia, ponieważ związanie się z mężczyzną oznaczałoby zdradę

Peggy Sue, której za nic w świecie nie chciałaby zawieść. Jednorożec uratował jej ojca i choćby dlatego należało dochować wierności.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić...

Mijały tygodnie. Ojciec pogrążył się bez reszty w pracy, dawni przyjaciele i znajomi zajmowali się swoimi rodzinami, letnie obozy jeździeckie dla dzieci dobiegły końca. Mallory nie wiedziała, co ze sobą począć, chociaż przedtem miała sporo planów. Nic jej nie interesowało. Najchętniej przesiadywała nad jeziorkiem i wpatrując się w falującą wodę, wyobrażała sobie twarz Chase'a. Czy też ją wspominał? Choćby czasami? Choćby na widok jej ukochanego Kwazara? Z całą pewnością nadal pracował od świtu do zmroku, podczas gdy ona traciła czas na bezpłodne marzenia.

Nad jeziorko codziennie przychodziła też Peggy Sue, czasem na bardzo krótko, ale Mallory zawsze mogła liczyć na to spotkanie. Jednorożec promieniał zdrowiem i szczęściem, biegał lekko jak baletnica, jego jedwabista grzywa i ogon falowały na wietrze. Długi róg w kolorze kości słoniowej połyskiwał w słońcu.

- Chase nie uwierzyłby własnym oczom, gdyby mógł cię teraz zobaczyć. Jesteś przepiękna - powiedziała któregoś sierpniowego dnia Mallory. W jej głosie brzmiał nieklamany zachwyt.

Peggy Sue kokieteryjnie zarzuciła łbem.- Myślisz o nim czasem? Pamiętasz, jak mu nieźle dawałaś do wiwatu? - Przysięgłaby, że jednorożec uśmiechnął się. - Tak, to on tak mówił. Brakuje mi go, wiesz? - wyznała spontanicznie. - Naprawdę przypadł mi do serca. I tyle mu zawdzięczam... Nie mogę odżałować, że nie dowiedziałam się

o tobie wcześniej. Dałoby się wtedy uratować nie tylko mojego tatę, ale i Skylar! Wyobrażasz sobie lepszy sposób odwdzięczenia się Chase'owi za wszystko, co dla nas zrobił? Byłby szczęśliwym ojcem, a tak został zupełnie sam...

Peggy Sue gwałtownie odwróciła głowę w jej stronę i popatrzyła na nią badawczo.

- Och, nie zwracaj uwagi na to, co mówię. Po prostu chciałabym zrobić coś dobrego dla niego i dla innych, nie chcę żyć tylko dla siebie... Ale nie wiem, od czego zacząć. Czegoś mi brakuje, coś mnie ssie w środku, jakoś mi czczo... Czuję się tak, jak ty w Wyomingu przed moim przyjazdem.

Peggy Sue odwróciła się od niej, z wdziękiem kozicy wspięła się po stromym zboczu kotlinki i znikła.

- No tak, teraz jeszcze i ona mnie zostawiła - westchnęła Mallory z lekkim wyrzutem.

Jakieś dziesięć minut później Peggy Sue wróciła, ale nie sama. Towarzyszył jej wspaniały kary ogier. Jednorożec z gór! Zarżał, wspiął się na tylne nogi, a gdy opadł z powrotem, klacz czule oparła łeb na jego szyi. Mallory oniemiała na moment.

- I przez ten cały czas nic mi nie powiedziałaś?! - zawołała w końcu.

Zwierzęta beztróska zarzuciły łbami, odwróciły się i zgodnie pomknęły w stronę zachodzącego słońca. W sercu Mallory wezbrała ogromna tęsknota.

- Wiesz co, Chasie Wellsie? - wyszeptała w przestrzeń. - Ten

twój koń, a mój jednorożec, próbuje mi dać coś do zrozumienia. Chyba muszę wziąć sprawy w swoje ręce. Najwyższa pora, żeby ktoś wziął cię za kołnierz i potrząsnął.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Chase przez małe okienko patrzył na Atlantycką, zastanawiając się, po co mu to było. Po kiego diabła pchał się na jakąś tycią wysepkę u wybrzeży Francji?

Oczywiście doskonale wiedział, czemu się tam pchał. Sięgnął do kieszeni i wymacał złożony na czworo kawałek papieru. Nie musiał nawet wyjmować telegramu, znał jego tekst na pamięć:

*chase stop potrzebuje cię stop peggy sue uciekła stop czy możesz pomóc mallory stop*

Nie rozumiał, czemu zawracała sobie głowę wysyłaniem telegramu, zamiast po prostu zadzwonić i pogadać z nim. Wszystko jedno, grunt, że miał pretekst do spotkania z nią. Tak, to był prawdziwy powód, dla którego natychmiast spakował walizkę i zarezerwował bilet. Na wszelki wypadek nie omieszkał powściekać się przy swoich pracownikach, żołądkując się, że Mallory nie umiała zadbać o Peggy Sue i teraz, proszę, cały kłopot na jego głowie! Był bardzo dumny ze

swojego popisu, dopóki nie zauważył, jak chłopaki błaznują za jego plecami, kładąc rękę na sercu, robiąc tęskne miny i przewracając oczami. Wtedy wcisnął stetsona na głowę i po prostu zwiął. Teraz wściekał się na siebie i za to, że jechał, i za to, że wziął ze sobą ukochany kapelusz. Będzie w tej całej Europie wyglądał jak idiota.

Nagle dech mu zapało. Ujrzał w dole piękną wyspę, z trzech stron otoczoną skalistymi górami, których strome zbocza wyrastały prosto z wody. Ujrzał w oddali olbrzymią połąć łąki zielonej jak szmaragd. Ujrzał rozrzucone w zachodniej części wyspy miasteczka. Samolot zaczął krążyć nad jednym z nich, podchodząc do lądowania. Gdy znalazł się niżej, Chase mógł już rozróżnić drobne ludzkie postacie na ulicach. Czy wśród nich była Mallory?

Nagle zrozumiał. Leciał przez pół świata, żeby wreszcie uporządkować wewnętrzny chaos. Myśli o tej dziewczynie nie dawały mu spokoju ani na moment. Ledwo się obudził, zaczynał nasłuchiwać, czy nie krząta się po kuchni - ale w domu panowała cisza. Leżał więc dalej i przypominał sobie, jak Mallory przychodziła do jego sypialni, przynosząc śniadanie albo gazę i bandażę. Gdy w końcu z niechęcią zwlekał się z łóżka i szedł do kuchni, marzył o kawie, jaką tylko ona potrafiła zaparzyć. I tak co dnia. Wszystko na ranczu przypominało mu o niej. Tą szczotką czyściła Peggy Sue. W tym miejscu opierała się o ogrodzenie pierwszego dnia. Nie mógł nawet spojrzeć na swojego wysłużonego pikapa, żeby oczami wyobraźni nie ujrzeć jej, jak siedzi na skrzyni.

Musiał się od tego uwolnić. Tak, znalazł się w Europie po to,

żeby definitywnie zamknąć całą tę sprawę.

Otswego, stolica wyspy, było urocze, staroświeckie i tętniło życiem. Chase oglądał z wnętrza taksówki otynkowane na niebiesko i zielono kamieniczki kryte czerwoną dachówką, ukwiecone balkony, pomniki na skwerach, dzieci pluskające się w fontannach.

Chyba są trochę na bakier z epokami, pomyślał, ujrawszy kilku mężczyzn w ciemnych trójgraniastych kapeluszach.

Gdy taksówka zajechała w końcu pod bramę posiadłości Hewitta Chevalle'a, Chase nie wierzył własnym oczom. Za wysokim kutym ogrodzeniem rozciągały się idealnie utrzymane trawniki i klomby, a za nimi wznosił się pałac jak z bajki - biały, z wieżyczkami, balkonikami i czym tam jeszcze. Nie odrywając oszołomionego spojrzenia od zjawiskowego widoku, zapłacił taksówkarzowi równowartość zaledwie pięciu dolarów amerykańskich i wysiadł.

Okazało się, że facet w dżinsach i kowbojskim kapeluszu nie może jakby nigdy nic po prostu wparadować przez główną bramę. Chase natychmiast został zatrzymany przez dwóch umundurowanych strażników, z których każdy był uzbrojony w pałkę i pistolet. Towarzyszyły im dwa potężne psy obronne. Tak, to już była zupełnie inna bajka.

Chase wyciągnął z kieszeni telegram.

- Ja do Mallory Chevalle. Zaprosiła mnie.

Ochroniarze skwitowali to pogardliwym rechotem, ale Chase podetknął jednemu z nich telegram pod sam nos. Strażnik bez

pośpiechu przestudiował tekst, a potem skinął na drugiego, który ze złośliwym uśmiechem powiedział coś przez interkom. Chase poczuł się nieswojo. Nie miał pojęcia, że Mallory żyje w takim zamknięciu. On by tu nie wytrzymał nawet pięciu minut!

Może więc podobało jej się w Wyomingu nie ze względu na niego, tylko dlatego, że wyrwała się ze złotej klatki? Może przecenił tę jej... chwilową fascynację? Przecież odkąd wyjechała, nie odezwała się do niego ani razu. Nie zadzwoniła nawet wtedy, gdy chciała poprosić go o pomoc, przysłała tylko parę słów, a on przyleciał jak na skrzydłach. Zresztą zrobił to dosłownie.

Wściekł się. Żadna kobieta nie była tego warta! W porządku, złapie jej tego konia, a potem spada stąd. Koniec, kropka.

- Zechce pan wybaczyć, że kazaliśmy panu czekać. - Strażnik niemal zgiął się w ukłonie. - Może zechce pan spocząć na ławce? Samochód zaraz po pana przyjedzie.

Szczeka mu opadła ze zdziwienia. Nawet nie dlatego, że nagle zaczęto traktować go z rewerencją, ale...

- Samochód? Przecież to dwa kroki!

Naraz ujrzał, jak na główną aleję wyskakuje nie wiadomo skąd czerwony kabriolet. W jednej sekundzie rozpoznał rozwiane jasne włosy, tworzące aureolę wokół roześmianej twarzy, i zrobiło mu się dziwnie miękko w środku, a wszystkie stanowcze postanowienia natychmiast wyleciały z głowy. Samochód z piskiem opon zatrzymał się przy bramie.

- Chase! Jesteś! - wykrzyknęła Mallory, wyskakując zza

kierownicy. - Tak się bałam, że nie przyjedziesz!

Z impetem rzuciła mu się na szyję, a Chase poczuł na torsie ciepły dotyk jej cudownych piersi. Uściskał ją, głęboko wdychając znajomy zapach perfum. Była jeszcze cudowniejsza niż w jego wspomnieniach.

Odsunęła się szybko.

- Och, twoje żebra, zapomniałam!

- Nic mi nie jest. Przeciwnie, nigdy nie czułem się lepiej - zapewnił z przekonaniem.

Za plecami Mallory strażnicy wymienili znaczące spojrzenia, na szczęście ona nie zdawała sobie z tego sprawy. Posłała Chase'owi olśniewający uśmiech.

- Uważaj, bo jak będziesz się tak uśmiechać, to za nic stąd nie wyjadę - ostrzegł.

- To świetnie, bo mam ci tyle do pokazania.

- A Peggy Sue? Znalazła się?

- Później o tym porozmawiamy. Chodź, proszę. - Gdy wsiedli do kabrioletu, dodała: - Przepraszam za tych strażników, wiem, że nie jesteś przyzwyczajony do takich rzeczy. Mój ojciec ma jednak swoje zdanie na ten temat.

- I słusznie. - Skinął głową. - Nie chce, żeby ci się coś przytrafiło.

Posłała mu ciepłe spojrzenie i odparła zagadkowo:

- A jednak coś mi się przytrafiło. Przed niektórymi rzeczami nie można się obronić. A przed innymi nie warto.



Jakiś czas później dołączyła do niego na patio, gdzie nakryto do lunchu.

- Mam nadzieję, że nie czekałeś na mnie zbyt długo. Owszem, wspomniała, że idzie się przebrać, ale Chase z pewnością nie oczekiwał, że ujrzy ją w oszłamiającej sukience bez pleców. Gapił się na nią przez chwilę, po czym nagle oprzytomniał, poderwał się i szarmancko odsunął jej krzesło. Gdy usiadła, zupełnie niechcący musnął palcami jej nagie ramię. Przeszył go dreszcz.

Ponownie zajął swoje miejsce, niepewnie zerknął na elegancką damę, w którą przedzierzgnęła się Mallory, a potem na zastawiony stół.

- Myślałam, że jesteś głodny, ale ty nic sobie nie nakładasz. Nie odpowiada ci nasza kuchnia? - zasmuciła się.

Chase z lekką paniką popatrzył na wytworne dania. Nie miał odwagi popsuć czegoś tak ładnego. Co innego, gdyby dostał na talerzu porządny befszytk... Wtedy wiedziałby, co zrobić, sprawa byłaby prosta.

- Nie, dlaczego? Po prostu czekałem na ciebie. Miło jeść razem. Odpowiedziała mu przepięknym uśmiechem.

- Kucharka postarała się specjalnie dla ciebie. Cały dom aż huczy od plotek, bo jeszcze nigdy nie zaprosiłam tu żadnego mężczyzny. Służba już nawet robiła zakłady: czy zostanę starą panną, czy jednak nie.

- Starą panną? Ty? Co za bzdura!

Lekko wzruszyła ramionami, wbiła widelec w danie z zapiekanych ziemniaków, nie przejmując się manierami umoczyła

jeden z nich w sosie i podała Chase'owi. Nie spuszczać spojrzenia z jej oczu, ugryzł pół ziemniaka, a ona zjadła drugą połówkę.

- W ten sposób daliśmy dalszy powód do plotek - skwitowała z wdziękiem.

- Na ranchu chłopcy też w kółko gadali na nasz temat. Ludzie wszędzie są tacy sami. I dobrze.

Fascynowała go łatwość, z jaką Mallory niwelowała różnice między nimi. Dla niej naprawdę wszyscy byli równi.

Teraz dla odmiany poczęstowała go jakąś delikatną rybą skropioną sokiem z cytryny.

- Jak ci się podoba twój pokój?

Pomyślał o ścianach obwieszonych kosztownymi, jak się domyślał, gobelinami, i ogromnych lustrach w złożonych ramach. Łoże z baldachimem było tak wysokie, że wchodziło się do niego po specjalnym stopniu. Chase czułby się daleko swobodniej i przyjemniej, gdyby mógł się przespać w stajni na sianie, zawinięty w derkę, ale przecież nie uchodziło wyskakiwać z taką propozycją.

- W porządku - zełgał gładko i zmienił temat: - Nie powiedziałaś mi jeszcze, jak się czuje twój ojciec. I jak twoja praca z dziećmi?

- Tata szczęśliwie wyzdrowiał i znów całymi dniami przesiaduje w biurze. Co do mnie... - Zawahała się. - Miałam tyle planów...

Zamierzałam na przykład zbudować krytą ujeżdżalnię, żeby stworzyć dzieciom możliwość jazdy konnej również zimą. Po co czekać aż do lata, po co tracić czas? Ale nagle moja działalność przestała mnie cieszyć. Przedtem lubiłam pracować sama, teraz już nie. Na twoim

ranczu przywykłam do tego, że zajmujemy się czymś wspólnie. Bardzo mi się to podobało, brakuje mi tego.

Znowu zrobiło mu się dziwnie ciepło na sercu. Obrócił w palcach kieliszek z winem, zastanawiając się, czy to możliwe, by Mallory tęskniła za nim tak samo jak on za nią.

- Cieszę się, że twój tata wyzdrowiał - odezwał się w końcu, nie podejmując wątku bardziej osobistego.

- Kiedy wróciłam, poruszał się na wózku inwalidzkim, od tygodni nie wychodził z domu. Od razu poznał się na Peggy Sue, podobnie jak ona od razu rozpoznała swoją ojczyznę. - Podchwyciła jego sceptyczne spojrzenie. - Naprawdę tak było. Chciałabym móc cię wreszcie przekonać!

Odsunął od siebie talerz.

- Nie po to tu przyjechałem, żeby znowu spierać się z tobą na ten temat, więc darujmy sobie, dobrze? Wystarczy, że przekonałaś twój ojca.

- Nie musiałam go przekonywać. Miałby nie poznać potomka rasy Cornelle? Zresztą Peggy Sue dała nam niezbity dowód swojej tożsamości.

Uniósł brew.

- Nie mówisz poważnie!

- Jak najbardziej. Niedługo ci pokażę.

- Jak to? Domyślasz się, gdzie ona jest? Mallory uśmiechnęła się tajemniczo jak Mona Lisa.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Po lunchu pokazała mu stajnie. Stadnina zrobiła na nim ogromne wrażenie. W końcu stanęli przed boksem, w którym Peggy Sue spędziła zaledwie parę godzin.

- Tata nie chciał o niczym słuchać. Uparł się, że trzeba ją puścić wolno, i to od razu pierwszego dnia.

- Czyli nie uciekła, tylko została wypuszczona? Skoro więc chcesz, żeby wróciła, czemu po prostu na nią nie zagwizdziesz jak kiedyś na ranczu?

Z uśmiechem wzięła go pod ramię.

- To by nic nie dało. Ona słucha teraz głosu serca. Chase nie mógł nie odpowiedzieć uśmiechem. Po prostu nie mógł.

- Rozczarowałaś mnie. Co to za trening, kiedy koń nie słucha?

- Mówisz tak, jakby podążanie za głosem serca było czymś nagannym. - Wyszli na zewnątrz. - Spójrz, i ty, i ja przez całe życie staramy się kierować rozsądkiem, podejmować rozważne decyzje...

- Co w tym złego?

Nie odpowiedziała wprost.

- Peggy Sue jest teraz jak wiatr. Biegnie tam, dokąd chce. Jest wolna. Zazdroszczę jej tego.

Zwolnił kroku.

- Mówisz tak, jakby ci tu czegoś brakowało. - Ruchem ręki wskazał bajkowy pałac, wypielegnowane trawniki, kort tenisowy,

basen, stajnie.

Powiodła dookoła wzrokiem, a jej wymowne milczenie przypomniało mu, że za pieniądze nie można mieć wszystkiego. Następnie poprowadziła go ku ogromnej łące, która była ogrodzona tylko od tej strony, zaś swobodnie otwarta w stronę gór. Chase aż gwizdnął z podziwu.

- Chodź, pokażę ci coś. - Mallory wzięła go za rękę i otworzyła bramę.

Nie przestawał się rozglądać, a jego spojrzenie nieustannie biegło ku górcom.

- Szukasz Peggy Sue? - spytała.

- Tak. Mam dziwne wrażenie, jakby gdzieś z oddali na nas patrzyła.

- Bo pewnie tak jest - rzuciła Mallory z tym swoim zagadkowym uśmiechem.

Doszli do linii wysokich krzewów, skręcili za nie, a Chase aż przystanął z wrażenia. Jeszcze przed chwilą znajdowali się na otwartej przestrzeni, teraz zaś byli w ukrytej kotlinie, otoczonej pasem gęstych zarośli. Na jej dnie znajdowało się jeziorko, którego powierzchnia nie przestawała delikatnie falować, ponieważ poruszała ją woda spadająca z położonego wyżej źródła.

- Gdy mój tata był małym dzieckiem, wyglądało tu tak samo. Potem jego dziadek utracił konie Cornelle i woda znikła. Pamiętam już tylko suchą dziurę w ziemi. I nagle wszystko się zmieniło.

Chase ogarnął pełnym niedowierzania spojrzeniem rosnące w

załomach skał rozłożyste paprocie, bujne pnącza i kępy pachnących białych kwiatów.

- Jak na filmie... - wymruczał, schodząc po kamieniach.

Przykucnął na płaskim głazie, który częściowo wystawał nad jeziorko, i zanurzył dłoń w wodzie.

- Ciepła! - wykrzyknął ze zdumieniem.

- Aha. Tata mówi, że ta woda ma uzdrawiające właściwości.

Cofnął rękę i obrzucił Mallory nieufnym spojrzeniem.

- Tylko mi nie próbuj wmawiać, że to jakieś źródło wiecznej młodości, dobrze? Jak znam twoje upodobanie do legend, to zaraz mi coś takiego zaserwujesz.

Posłała mu urzekający uśmiech.

- Gdy wypuściliśmy Peggy Sue, przyszła następnego ranka po mojego ojca i przyprowadziła go w to miejsce, gdzie nagle znowu pojawiło się źródło. Tata wykapał się i poczuł się lepiej. Przez prawie dwa tygodnie Peggy Sue czekała na niego codziennie bladym świtem pod bramą i eskortowała go tutaj. Codziennie zanurzał się w tym jeziorku. I wyzdrowiał. - Zrzuciła sandaalki, usiadła na głazie obok Chase'a, podciągnęła sukienkę nad kolana i zaczęła bez troski machać nogami, wzbijając fontanny wody. - Czy to nie dziwny zbieg okoliczności?

Nie mógł oderwać spojrzenia od jej kształtnych nóg, po których spływały strużki wody. Powiedziałby nawet, że spływały wyjątkowo prowokacyjnie.

- Legenda rzeczywiście mówi, że jednorożec potrafi przywołać z

ziemi magiczne źródło - dodała po chwili.

- Ty znowu swoje?

- A jednak choroba mojego ojca cofnęła się - przypomniała mu.

- Czasem zdarza się coś, czego nie da się racjonalnie

wytłumaczyć.

Z uśmiechem położyła dłoń na jego kolanie.

- Tak. Na przykład przeznaczenie.

- Może lepiej zostanmy przy zbiegu okoliczności.

- Niech ci będzie - zgodziła się, po czym dodała: - Na razie... - W

zadumie przeciągnęła palcami stopy po powierzchni wody, tworząc maleńki wir. - Wiesz, że też przychodzę tu się kąpać?

- Naprawdę? Masz przecież pod samym domem luksusowy basen.

- Tak, ale tu jest tak spokojnie i kojąco... Zaczęłam tu przychodzić, żeby bez przeszkód wspominać proste życie w Wyomingu. Ale ani na chwilę nie mogłam zapomnieć, że twoje ranczo znajduje się aż za oceanem.

- Tęskniłaś za mną? - spytał natychmiast i wstrzymał oddech, nie mając pojęcia, jaką odpowiedź usłyszy.

- Tak - odparła Mallory i spojrzała na niego z nadzieją w oczach.

Czekała, by powiedział to samo, lecz Chase jakoś nie mógł zdobyć się na to wyznanie. A przecież umierał z tęsknoty... Odwrócił wzrok.

- Byłem przekonany, że jesteś zajęta twoim ojcem, pracą, a także Peggy Sue, i nawet nie masz czasu pomyśleć o mnie.

- Jak mogłabym nie mieć czasu na myślenie o kimś, kto stał się dla mnie tak ważny? Jeszcze z nikim nie rozmawiałam w taki sposób jak z tobą. Pamiętasz, z ilu rzeczy zwierzyliśmy się sobie, siedząc tamtej nocy na skrzyni samochodu i patrząc w gwiazdy? Nigdy nie czułam podobnej bliskości z drugim człowiekiem.

Ponieważ tamtej nocy opowiadał jej o utracie córki i o rozpadzie swojego małżeństwa, natychmiast odżyły w nim wszystkie obiekcje dotyczące wiązania się z kimś.

- Bliskość nie zawsze jest bezpieczna. Łatwo można zostać zranionym.

- Albo uleczonym. Mnie na przykład bardzo pomogło, że mogłam ci zaufać i otworzyć się przed tobą. Tamtej nocy odkryłam w tobie czułe i głęboko zranione serce. Czy ono również nie potrzebuje pomocy? - odpowiedziała łagodnie.

Chase toczył wewnętrzną walkę. Myślał o tych wszystkich rzeczach, które dusił w sobie przez lata, którymi się gryzł. Mallory próbowała uwolnić go od tego bagażu, przy czym robiła to tak delikatnie, że Chase nie czuł się zagrożony ani poniżony. Jakby przyznawanie się do emocji nie czyniło z mężczyzny słabeusza i mazgaja. Może powinien jej posłuchać? W końcu to przy niej odżył, dzięki niej znowu mógł się śmiać, znów mógł życzliwie patrzeć na ludzi. Wystarczyło, by pojawiła się w jego życiu na kilka tygodni, a już stał się lepszym człowiekiem.

- Skoro nie chcesz ze mną rozmawiać, to przynajmniej popływajmy - zaproponowała nagle i zaczęła rozpinąć sukienkę. - Lewt



opowiadał, że w Wyomingu pływa się nago. To musi być kapitalne!

- Hej, co ty robisz? - krzyknął oszołomiony. Ta kobieta miała niezwykły talent do zaskakiwania go.

- Rozbieram się, żeby popływać. Razem z tobą.

- No co ty! Jak twój ojciec nas zobaczy... Ci wasi strażnicy powieszają mnie na suchej gałęzi!

Mallory z frywolnym uśmiechem rzuciła sukienkę na trawę. Pod spodem miała seksowny dwuczęściowy kostium.

Chase'owi zrobiło się gorąco.

Ześlizgnęła się z głazu do wody.

- No chodź - kusiała. - Przecież chcesz... Zerwał się na równe nogi.

- Przyjechałem łapać konia, a nie...

- Nie zaszkodzi przedtem trochę się popluskać - rzuciła ze śmiechem.

Spojrzał prosto w wycięcie jej staniczka. Pragnienie walczyło z poczuciem obowiązku, a ich siły okazały się wyrównane.

- Możesz się spokojnie rozbierać, nie będę cię podglądać. -

Odwróciła się i popłynęła na głębszą wodę.

Chase pożerał ją wzrokiem, nie mając pojęcia, co począć. Była tak niewiarygodnie piękna...

Nie, nie powinien dać się wciągnąć w tę grę. Mallory zasługiwała na kogoś lepszego. Kogoś, kto ją poślubi, złoży przysięgę wierności na wieki, będzie mieć z nią dzieci.

Nie odrywając od niej spragnionego wzroku, zrobił dwa kroki do

tym, żeby uciec od pokusy, ale poślizgnął się na kamieniu i wpadł do wody, która natychmiast zamknęła się nad nim.

Usłyszał szum w uszach, w ustach poczuł orzeźwiający smak, a na całym ciele ciepły, kojący dotyk. Doznał niewyobrażalnej ulgi. Ogarnęło go uczucie lekkości, ustąpiło całe znużenie życiem, troski i niepokoje rozpląnęły się bez śladu. Gdy wynurzył się na powierzchnię, traumatyczna pamięć zmieniła się we wspomnienie, które już nie miało nad nim władzy. Odnosił wrażenie, że w tajemniczy sposób został oczyszczony i uleczony. W jego sercu wezbrała nadzieja. I miłość.

Otworzył oczy, a jego wzrok padł na rozjaśnioną nieziemskim uśmiechem twarz Mallory.

- Jednak zdecydowałeś się dołączyć do mnie!

- Na to wygląda - odparł, kątem oka zauważając, jak jego kapelusz kołysze się nieopodal na wodzie.

- I jak się z tym czujesz?

Przez chwilę szukał odpowiednich słów.

- Jak nowo narodzony.

- Teraz rozumiesz, czemu tu przychodzę? To źródło nie tylko leczy ciało i duszę, ale rozjaśnia także myśli. Dopiero tu zrozumiałam, czego naprawdę chcę.

Zatopił spojrzenie w jej oczach i nagle on też zrozumiał, czego naprawdę chce. Chciałby zacząć życie na nowo. Z kimś takim jak ona. Nie. Nie z kimś takim jak ona. Z nią.

Zdecydowanie rozpiął przemoczoną koszulę, zdjął ją z siebie i rzucił na kamień, a następnie schylił się, żeby ściągnąć buty. Zanim

ustawił je na głazie, odwrócił je i w spektakularny sposób wylał z nich wodę. Mallory roześmiała się w tym samym momencie co on.

Odwrócił się ku niej w wodzie, która sięgała mu do bioder i zaczął rozpinąć pasek od spodni. Zauważył, że z podekscytowania zarumieniła się leciutko i mimowolnie wykonała zachęcający gest. Kiedy ściągnął dzinsy i rzucił je na brzeg, kąciki jej ust uniosły się w figlarnym uśmiechu. Chase prowokacyjnie zatknął kciuki za gumkę bokserek.

- Na pewno chcesz pływać nago? Poruszyła ramionami, zataczając szerokie koła.

- A cóż to szkodzi? Zobacz, ile wody mamy między sobą.

Roześmiał się, nareszcie szczęśliwy i swobodny, ale nic nie odpowiedział. Lekko przekrzywił głowę i rzucił jej przekorne spojrzenie. Zrozumiała go bez słów. Podniosła ręce i zaczęła powolutku rozwiązywać tasiemki staniczka. Stała akurat w wodzie do piersi... Chase niemal przestał oddychać.

Po chwili skąpy kawałek kolorowego materiału kołysał się na wodzie, odpływając w stronę brzegu. Niestety, Chase'owi niewiele udało się zobaczyć, ponieważ powierzchnia wody znajdowała się jednak ciut za wysoko jak na jego potrzeby. Sama jednak świadomość, że Mallory stoi przed nim półnaga, mocno działała na jego wyobraźnię.

- Nie masz wrażenia, że zaczyna to przypominać rajski ogród? - powiedziała, po czym pozbyła się również dolnej części kostiumu.

Serce zabiło mu szybciej. Jeszcze nigdy nie spotkał kobiety, która potrafiłaby ofiarować się mężczyźnie w sposób zarazem tak odważny, i

tak niewinny. Takiemu zestawieniu nie mógł się oprzeć.

- Nie przyjechałem tutaj ze względu na Peggy Sue - wyznał bez wahania. Teraz już nie obawiał się niczego.

- Przyjechałem tu tylko dla ciebie. Odmieniłaś moje życie.

Mallory spoważniała.

- Ty moje również - odparła. - Wybacz, nie byłam z tobą szczerą.

Nie zaprosiłam cię tu ze względu na Peggy Sue. Wszystko zmyśliłam. Ale inaczej nie mogłam postąpić. Po prostu musiałam cię zobaczyć.

W oczach Chase'a zaślniła radość.

- Musiałam cię zobaczyć, żebyśmy mogli zbierać trochę wspólnych doświadczeń... Ale tym razem na moim podwórku - dorzuciła wesoło, używając jednego z powiedzonek, których ją nauczył.

Zaśmiał się i nie bacząc już na nic, ściągnął bokserki i szybkim kraulem popłynął ku niej. Gdy był już blisko, zatrzymał się nagle, porażony myślą, że na wyciągnięcie ręki miał kompletnie nagą dziewczycę... Co teraz?

Najchętniej krzyknąłby na cały głos, że ją kocha. Rozpierała go radość, nie dbał o to, czy ktoś ich odkryje, czy nie.

Jakby wyczuwając jego nastrój, Mallory żartobliwie prysnęła na niego wodą i odpłynęła dalej.

- To nie fair! - zawołał, rzucając się za nią i łapiąc ją za kostkę.

Krzyknęła, wywinęła się zwinnie jak piskorz, potem zanurkowała pod wodę. Chase zanurkował za nią. Odwróciła się, wyciągnęła ręce. Spletli dłonie pod wodą i razem wypłynęli na powierzchnię. Odnaleźli

stopami dno. Stanęli twarzą w twarz. Jasne włosy Mallory spływały jej na plecy, na wargach błyszczały kropelki wody.

- Nie pocałowałem cię na powitanie - wymruczał Chase.

- Aha - zgodziła się. - A tamten pocałunek na pożegnanie wcale się nie liczył - dodała, podnosząc na niego zachęcające spojrzenie.

Jednocześnie przysunęli się do siebie, ale kiedy Chase wreszcie poczuł dotyk jej nagich piersi na swoim torsie, zawahał się.

- Kiedy tańczyliśmy na ulicy, wcale ci nie przeszkadzało, że byliśmy równie blisko - przypomniała mu kuszącym głosem.

- Tak, ale...

Nie słuchała. Otoczyła jego szyję ramionami i przyciągnęła do siebie. Nie pozostało mu nic innego, jak się poddać, poddać się magii tego miejsca, urokowi tej niezwykłej kobiety, poddać się i zapomnieć o całym świecie...

Gdy po długim, długim czasie oderwał wargi od jej ust, miał wrażenie, że temperatura otaczającej ich wody jeszcze wzrosła.

- Kocham cię, Mallory - wyznał spontanicznie, przesuwając czule ustami po jej policzku. - Zakochałem się w tobie w tej samej chwili, gdy wysiadłaś z samochodu przed moim domem.

- No wiesz! Aż tyle czasu ci to zajęło? - zaśmiała się perliście.

Odpowiedział jej uszczęśliwionym uśmiechem.

- Wyglądałaś jak anioł, który zjawił się w moim życiu, żeby je poukładać. Do tego potrzeba rzeczywiście anielskiej cierpliwości!

- A mnie jej nigdy nie zabraknie, bo cię kocham.

- Naprawdę? - spytał bez tchu.

- Tak. Kocham cię do szaleństwa. Tych kilka miesięcy bez ciebie było nie do zniesienia.

W milczeniu popatrzyli sobie głęboko w oczy. Nareszcie spotkał kobietę ze swoich snów.

Nareszcie spotkała prawdziwego mężczyznę.

- Jesteś cudowna. Uwielbiam, jak żartujesz i rozjaśniasz wszystko dookoła swoim uśmiechem.

- A ja uwielbiam, jak udajesz twardziela, gdy w rzeczywistości jesteś łagodny jak baranek.

- Kto? Ja? - zaperzył się.

- Aha. Jesteś czuły i delikatny. Nie sposób się temu oprzeć. A już na pewno nie mogę się oprzeć, gdy taki ktoś mówi, że mnie kocha. Powiedz to jeszcze raz... - poprosiła cichutko.

- Kocham cię! - odparł z mocą i dodał jeszcze głośniejszym głosem: - I niech wszyscy o tym wiedzą!

Odpowiedziało mu pełne aprobaty parsknięcie. Odwrócili się i ujrzeli stojącą przy źródle Peggy Sue. Wydawało się, że otacza ją delikatna srebrzysta poświata. Jej róg lśnił, a grzywa i ogon falowały na wietrze. Wyglądała jak nieziemskie zjawisko.

Odsunęli się od siebie.

- To nie do wiary - wyszeptał Chase. - Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

Peggy Sue iście po królewsku odrzuciła łeb do tyłu, po czym z gracją przecięła zbroczę i weszła na płaski głaz, na którym przedtem siedzieli.

- Przyszła cię zobaczyć - wyjaśniła Mallory. - Idź.

Jak zahipnotyzowany zbliżył się do niezwykłego zwierzęcia. Przystanął w sięgającej mu do pasa wodzie i wyciągnął rękę, ale Peggy Sue nie była zwykłym koniem i nie miała ochoty na takie poufałości. Pochyliła jednak ku niemu głowę i musnęła chrapami jego policzek, jakby obdarzała go pocałunkiem. Usłyszał, że Mallory zbliża się również i staje za jego plecami.

- Jej róg stał się dłuższy - zauważył.

- Mhm...

- I wydaje się dużo łagodniejsza.

- Mhm...

- Ale jak to możliwe? - zdumiał się.

Peggy Sue ponad jego ramieniem wymieniła z Mallory znaczące spojrzenie. Przysięgłby, że mają jakieś swoje babskie tajemnice!

- To ze szczęścia. - Znalazła bratnią duszę.

- Co takiego?!

Jak na zawołanie, na krawędzi kotlinki pojawił się majestatyczny karosz. Mallory spodziewała się tego, więc nawet nie mrugnęła okiem. Ogier wspiął się na tylne nogi, a chwilę później z takim impetem uderzył przednimi kopytami w ziemię, że wzbił fontanny żwiru.

- Proszę, proszę! - skomentował Chase.

Kary jednorożec zbiegł na dno kotlinki i przystanął po przeciwnej stronie jeziora. Peggy Sue popatrzyła na niego z nieskrywanym zachwytem, potem posłała Chase'owi rozbawione spojrzenie i zeskoczyła z głazu na trawę.

- W porządku, Peggy Sue, przekonałaś mnie, że to twój dom. Przekonałaś mnie nawet, że jesteś jednorożcem. Może nawet i to źródło ma wyjątkowe właściwości. Podobno jednorożce potrafią biegać po wodzie. Dałbym wszystko, żeby to zobaczyć, jakem Chase Wells.

Klacz zastrzygła uchem i obróciła łeb w jego stronę.

- Uważaj, Chase - ostrzegła pospiesznie Mallory. - Nie obiecuj niczego pochopnie.

- Nie żartuj! Chcesz mi powiedzieć, że ona naprawdę to zrobi i będę musiał dotrzymać słowa?

Trafiała się jej jedna okazja na tysiąc. Trzeba było to wykorzystać.

- Tak. Będziesz musiał rozpocząć nowe życie, tak samo jak ona. To jest jej warunek.

Chase zerknął z niedowierzaniem na Mallory, po czym z powrotem przeniósł wzrok na Peggy Sue. Jednorożec zarżał, machnął ogonem i wbiegł do wody. Nie, nie do wody. Wbiegł na wodę! Jego kopyta zdawały się tańczyć na powierzchni jeziora.

- Ona tego nigdy nie robiła... - wyszeptała z zachwytem Mallory.

Peggy Sue dołączyła do czekającego na nią karosza i oba jednorożce wspięły się po zboczu, a po chwili znikły im z oczu.

Chase nic nie powiedział, ale wyraz jego twarzy mówił sam za siebie.

Po długiej, bardzo długiej chwili sięgnął po leżącą na głazie mokrą koszulę i zaczął ją wyżywać.

- Niech mnie diabli... A ja jej obiecałem - wymruczał do siebie.



- Co?

- W duchu dałem jej słowo, że jeśli to zrobi, to rozpocznę nowe życie.

Miał tak dziwną minę, że Mallory wtrąciła pospiesznie:

- Może jednak nie zaczynaj od jakichś drastycznych zmian, dobrze?

- Zacznę od wyjścia z wody. Koniec z pływaniem nago - oznajmił zdecydowanie.

Przestraszyła się. Czyżby się rozgniewał, bo uznał, że zastawiła na niego pułapkę?

Chase strzepnął koszulę i otulił nią Mallory. Nagle zawstydziała się swojej nagości i swojego zachowania. Przecież mało brakowało, żeby mu się oddała! A on... A on jej nie chciał!

Kurczowo zacisnęła palce na połach jego koszuli i osłoniła się szczelniej. Chase chwycił kołyszący się nieopodal na wodzie kapelusz.

- Porządna dziewczyna nie kąpie się nago z mężczyzną - zawyrokował.

Mallory drgnęła i zagryzła wargi. Miała to, na co zasłużyła.

- Ale żona to co innego. - Mocno przycisnął kapelusz do piersi. - Kocham cię. Wyjdiesz za mnie?

Aż nogi się pod nią ugięły. Tego nie spodziewała się nawet w najśmielszych marzeniach!

Jakiś wewnętrzny głos kazał jej natychmiast powiedzieć „tak”, ale z jej ust wyrwało się co innego:

- Ale... Ale kiedy?

Ogarnął ją zachwyconym spojrzeniem.

- Najszybciej, jak to możliwe!

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Wszystko odbyło się zgodnie z tradycją. Chase oficjalnie poprosił Hewitta Chevalle'a o rękę jego córki. Ten zgodził się z radością i natychmiast kazał przynieść z piwnicy najlepsze wino, żeby to uczcić.

- Wierzę, iż zostaliście sobie przeznaczeni i że wasza miłość będzie trwała wiecznie - oznajmił ze wzruszeniem, wznosząc toast za pomyślność narzeczonych.

Termin ślubu ustalono za dziesięć dni. Przygotowania do ceremonii ruszyły pełną parą.

- Wszystko załatwione - oznajmił Chase, wchodząc pewnego popołudnia do salonu. - Wszystko będzie tak, jak chcieliśmy.

- Miałeś się tu nie pokazywać! - zganiała go Mallory. - Przygotowuję wyprawę ślubną, nie powinieneś jej oglądać przed ceremonią.

Zachichotał i z zainteresowaniem rozejrzał się dookoła. Cały pokój był zasłany bielizną.

- Przypomina mi się, jak zaraz po przyjeździe na rancho wywaliałaś stertę takich fru-fru na łóżko. To było dla mnie mocne przeżycie.

Spłonila się lekko.

- Nie miałam pojęcia...

Chase sięgnął po błękitną koszulkę nocną, niemal całkiem przezroczystą.

- Koniecznie weź to - zdecydował. - Mam wrażenie, że widziałem cię w czymś podobnym, kiedy kąpaliśmy się nago w jezioru - zażartował z zabójczym uśmiechem.

Był niemożliwy i cudowny jednocześnie. Jak mogła go nie kochać? Zrobiła nadąsaną minkę.

- Dobrze, ale to nie powód, żebyś teraz oglądał moje rzeczy, miałeś je zobaczyć dopiero po ślubie. Popsujesz cały efekt!

Otoczył ją ramieniem i uściśnął uspokajająco.

- Złotko, to nie fatalaszki robią na mnie wrażenie. Nie potrzebujesz tego wszystkiego, żeby mi się podobać!

Omam nie rozplęnęła się z zachwytem,

- Co powiedziałaś? - spytała, pragnąc go sprowokować do powtórzenia tego cudownego wyznania, ale on zrozumiał to inaczej.

- Wszystko załatwione po naszej myśli. Bob bardzo chętnie będzie spędzał zimy na ranczu, więc my możemy siedzieć tu z twoim tatą i zajmować się pracą z dziećmi. Na wiosnę będziemy przenosić się do Wyomingu.

Naraz stało się jej zupełnie obojętne, gdzie będą mieszkać. Potrzebowała tylko, by Chase mówił jej same romantyczne rzeczy. Najlepiej bez końca.

- Czemu patrzysz na mnie takim dziwnym wzrokiem? - zdziwił

się. - Przecież właśnie tego chciałaś, prawda?

- Tak, ale...

- Słuchaj, jeśli wolałabyś cały rok mieszkać tutaj, to naprawdę nie ma sprawy, to też da się załatwić. Znajdę sobie pracę, bo od twojego ojca nic nie wezmę. Bardzo go cenię, ale nic od niego nie chcę, z wyjątkiem ciebie. Nazwij to dumą, jeśli chcesz, trudno. Nie obchodzą mnie wasze pieniądze, znajomości, status i cała reszta. Leciutko uniosła brwi.

- Nie apróbujesz więc naszego stylu życia? Aż tak bardzo ci się to wszystko nie podoba?

Zawahał się.

- Podoba mi się jedna rzecz. Twoja działalność charytatywna. Te obozy jeździeckie dla dzieci to bombowy pomysł. To jest to, w czym chętnie bym ci pomógł, oczywiście jeśli pozwolisz. Czułbym, że robię coś dla innych. Nie tylko dla tych dzieci, ale i dla ciebie, i w jakiś sposób... dla Skylar.

Wzruszyła się głęboko.

- Jak miałabym nie pozwolić? Przecież właśnie o tym marzyłam! I nawet zaczęłam się zastanawiać, w jaki sposób można by uczcić pamięć Skylar. Może nazwiemy nasz ośrodek jeździecki jej imieniem?  
- zaproponowała. - Ale kiedy prosiłam, żebyś powtórzył swoje słowa, miałam na myśli co innego...

Zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem.

- Mówiłeś coś na temat mojej wyprawy ślubnej... podsunęła.

- A, to! No, ładne ciuszki, ale nie będziesz ich aż tyle potrzebować.

- Chase, czy jesteś pewien?

Posłał jej absolutnie zabójczy uśmiech.

- No! Na pewno będę wołał cię bez nich...

Odpowiedziała mu bladym uśmiechem i odwróciła wzrok.

- Nie o tym myślałam... Spojrzał na nią i spoważniał.

- A o czym?

- Czy jesteś pewien, że naprawdę chcesz wiązać się na stałe?

Mieszkać z dala od Wyomingu? Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co dla ciebie oznacza życie tutaj? Czy jesteś gotów podjąć zupełnie nowe obowiązki?

- Mallory Chevalle... - zaczął tonem pełnym przygany - ...jestem pewien na sto procent, że wołami byś mnie nie zaciągnęła do ołtarza, gdybym sam tego nie chciał!

Ślub wzięli w kotlince. Przy źródleku było dość miejsca, by wznieść kapliczkę i urządzić niewielkie przyjęcie weselne. Mallory przyjechała wraz z ojcem białym powozem, a Chase czekał na miejscu razem z drużbą. Drużbą był oczywiście Bob Llewelyn. Nie zabrakło też Lewta, Tony'ego i Gabe'a, którzy wprawdzie niezbyt pasowali do otoczenia, ale jakże wspaniale było ich tu widzieć! Z przeciwnej strony jeziora ceremonię obserwowały dwa jednorożce.

Mallory i Chase wypowiedzieli słowa przysięgi i wymienili obrączki, a wtedy harfistka zagrała przejmująco piękną tradycyjną

pieśń ślubną z Narwhalu. Po ceremonii rozpoczęło się przyjęcie. Kucharka przeszła samą siebie i przygotowała tort jak z bajki. Wino lało się strumieniami. Tony i Gabe zalecali się do pokojówek, które aż pokraśniały z zadowolenia, że mają takich przystojnych kawalerów, a Lewt wprowadzał Hewitta Chevalle'a w arkana swoich pokerowych trików.

- Bardzo tu miło i w ogóle - wymruczał po paru godzinach Chase, nie wiadomo który raz zerkając na zegarek. - Ale czy nie moglibyśmy już się zmyć i pobyć trochę ze sobą? - Sugestywnie przeciągnął palcami po plecach żony wzdłuż kilkudziesięciu małych białych guziczków.

Zadrzała.

- Myślę, że już możemy. - Wzięła go za rękę i zaprowadziła do ojca. - Tato, jesteśmy zmęczeni, chyba pójdziemy odpocząć.

Chcieliśmy ci życzyć dobrej nocy.

Roześmiał się.

- To raczej wam należy życzyć dobrej nocy. No to zmykajcie.

Śniadanie o dziesiątej. Postarajcie się nie zasnąć... - Z uśmiechem pogroził im palcem.

- Oj, tato... - Mallory zarumieniła się i pocałowała go w policzek. Hewitt mocno uścisnął dłoń Chase'a.

- Chciałbym ci podziękować, synu. Moja córka jest szczęśliwa.

Ale to jeszcze nie koniec twoich zadań, teraz pora na wnuki. Do dzieła!

- Tato! - zaprotestowała ponownie Mallory, ale on ze śmiechem odprawił ich gestem ręki:

- No, już was nie ma! Nie zwracajcie mi dłużej głowy, bo muszę potaćzyć.

Wymknęli się więc cichcem, przystając jeszcze na chwilę na krawędzi kotlinki, żeby popatrzeć na bawiących się gości.

- Zobacz - mrugnął do Mallory. Wskazał na Peggy Sue i jej partnera.

- Straszna z niej flirciara. Czasem aż wstyd patrzeć, jak na niego leci - przyznała Mallory i korzystając ze spowijającego ich cienia krzewów, gorąco pocałowała męża.

Trzymając się za ręce, wrócili przez łąkę do domu. W każdym oknie paliła się świeca, ale wewnątrz nie było nikogo. Wszyscy zostali zaproszeni na wesele.

- Mamy cały dom dla siebie - ucieszyła się Mallory.

- Wykorzystajmy to! - zaproponował Chase i natychmiast wprowadził słowa w czyn, całując ją chciwie już w holu, a potem na każdym stopniu schodów, więc wejście na piętro zajęło im trochę czasu. Ręce Chase'a też nie próżnowały. - Tych guziczków jest tyle, że muszę zacząć już teraz - tłumaczył zdyszczym szeptem.

Na piętrze zaciągnął ją do wnęki, gdzie stały dwa marmurowe posągi nagich nimf.

- Zawsze chciałem... zrobić to... tutaj - mruczał, obsypując żarliwymi pocałunkami jej szyję i obnażone ramiona. - Ile razy widzę... te piękności... myślę o tobie... tamtego popołudnia... rozbierającej się... dla mnie...

Jego pocałunki zmierzały coraz niżej, a dłonie, początkowo

spoczywające na talii Mallory, coraz wyżej. Wreszcie dotknął jej piersi, jednocześnie wsuwając język w zagłębienie między nimi. Uniosła się na palcach, poddając mu ciało jeszcze bardziej, aż wreszcie poczuła przez materiał pieszczotę jego palców na swoich sutkach. Jęknęła, jakby sparzył ją płomień.

Mimowolnie wygięła się do tyłu. Chase podtrzymał ją mocno jedną ręką, a drugą pociągnął do dołu haftowany gorset. Niestety, gorset był dopasowany i nie udało się go przesunąć. Co za zawód! Już, już myślał, że dosięgnie czubkiem języka jej sutek, a tu musiał obejść się smakiem. Na razie...

- Chodź - szepnął zduszonym głosem, wyciągając żonę z niszy.

Pobiegli do sypialni, wpadli do środka i zatrzasnęli za sobą drzwi. Uśmiechnęli się na widok płatków czerwonych róż rozsypanych na białej pościeli i chłodzącego się w srebrnym wiaderku szampana, ale szybko odwrócili od nich wzrok, bo chcieli patrzeć tylko na siebie.

Przez moment trwali nieruchomo, po czym Mallory uniosła rękę, by odpiąć welon, lecz Chase powstrzymał ją gestem. Sam wyjął ozdobne grzebienie z jej włosów. Teraz już się nie spieszył, celebrował każdy moment tej niezapomnianej nocy. Delikatnie zdjął welon, przypięty długimi szpilkami, i rozpuścił włosy Mallory.

- Zawsze mi się podobały - wyszeptał, wsuwając w nie palce. - Pamiętam, jak zobaczyłem cię po raz pierwszy. Wyglądały cudownie, gdy rozwiewał jej wiatr.

- Mów mi nadal takie rzeczy, a stanę się próżna - ostrzegła z uśmiechem i odwróciła się plecami, by mógł rozpiąć jej suknię.



- A wiesz, że kiedy jeździmy konno, specjalnie puszczam cię przodem? - wyznał w okolicach dwudziestego guziczka. - Lubię patrzeć, jak twoje włosy falują na wietrze. Nie mogę się na nie napatrzeć. Życie jest kruche i krótkie, Mallory. Trzeba zapamiętać każdą dobrą chwilę, każdy piękny szczegół, wyryć je sobie w duszy i w ten sposób ocalić na zawsze. Nie chcę niczego stracić, niczego, co wiąże się z tobą.

- Chase...

- Tak?

- Gdy dziś składaliśmy sobie przysięgę małżeńską... - zaczęła i poczuła, jak jego dłonie znieruchomiały wydawało mi się, że to za mało. Tak, ślubuję ci miłość, wierność i że cię nie opuszczę aż do śmierci, a do tego prawie umieram ze szczęścia na samą myśl o tobie. Jesteś częścią mnie. Żyję dla ciebie, oddycham dla ciebie, moje serce bije dla ciebie. Nie muszę cię widzieć, żeby czuć twoją obecność.

Chase pochylił głowę, złożył najczulszy pocałunek na jej nagim ramieniu, zamknął oczy i zmówił w myślach krótką modlitwę dziękczynną.

- Czy tak będzie zawsze? - spytała cicho. Poczowała jego ciepły oddech na swojej skórze.

- Między nami... tak - odszepnął. - Każda wspólnie przeżyta chwila będzie nas mocniej wiązać ze sobą.

Milczeli jakiś czas, przejęci głębią swoich uczuć. Stary zegar na kominku wybił godzinę, a lekki powiew wiatru wydał muślinowe białe firanki w otwartych drzwiach balkonowych.

- Ta suknia to utrapienie dla kogoś, kto się spieszy - odezwała się w końcu Mallory.

- A czy nam się spieszy? Mamy przed sobą całe życie.

- Powolutku rozpinął kolejne guziczki, z zachwytem obserwując, jak odsłaniają się plecy Mallory, jej talia, jej biodra... - Co nie zmienia faktu, że prawie wyskakuję ze skóry z niecierpliwości - przyznał. - Jeszcze chwila, a po prostu dostanę kota.

- Dostaniesz kota? - zdumiała się. Zaśmiał się cicho.

- Kolejne wyrażenie do twojego słownika. Dostanę kota, czyli zwariuję. Doprowadzasz mnie do szaleństwa.

Sukienka zsunęła się na podłogę, a Mallory odwróciła się prosto w ramiona Chase'a. Miała na sobie koronkową bardotkę, skąpe figi i seksowne pończochy - wszystko śnieżnobiałe.

Aż pokręcił głową z podziwu, a potem porwał żonę na ręce i zaniósł na łóżko. Zdjął jej pantofelki, ze swawolną miną ucałował każdy z palców u stóp, a potem powolutku, bardzo powolutku ściągnął jej jedną pończochę, następnie drugą, upuszczając je na dywan.

W ślad za nimi poleciała jego ciemna marynarka. I kamizelka.

Pochylił się nad Mallory, a ona zaczęła rozpinąć guziki jego białej koszuli. Rozsunęła poły na boki, uniosła głowę i przesunęła ustami po zabliznionej ranie, którą zostawiła mu Peggy Sue.

- Od pierwszej chwili chciałem, żebyś mnie leczyła pocałunkami - wyznał, odrzucając koszulę na bok.

Chwilę później nie mieli już nic na sobie i mogli do woli napawać się dotykiem, smakiem i zapachem swoich nagich ciał,

poznawać je i zatracać się w oszalamiającym doświadczeniu.

- Nie chcę, żeby cię bolało - wyszeptał, gdy pocałunki i pieścizoty przestały im wystarczać.

- Nie szkodzi. Zboli tylko ten jeden raz. Pragnę cię. Chodź.

Pieszcząc ją dalej, wyczekał, aż Mallory będzie naprawdę gotowa, i wszedł w nią zdecydowanie jednym pchnięciem bioder, by jej ból trwał jak najkrócej.

Musiało ją zabolec, gdyż zareagowała gwałtownie, lecz on ani na moment nie przestał obsypywać jej pocałunkami i powtarzać łagodnie:

- Już dobrze, skarbie, już dobrze. Kocham cię... Przestała dygotać i znowu jęknęła, tym razem przyzwalająco.

Teraz mógł zaprowadzić ją dalej w głąb świata nowych, cudownych doznań, który się przed nią otworzył. Teraz mogli pójść tam razem.

Obróciła się w jego ramionach.

- Słyszałeś? - wymruczała mu do ucha.

- Mmm... Co?

- Peggy Sue. Od dawna nie przychodziła rano pod okna. Chodź, wstajemy.

Z trudem otworzył powieki i zerknął na zegarek. To była jedyna rzecz, jaką miał na sobie.

- O tej porze? - jęknął. - Jest piąta rano.

- Bardzo dobrze. Będziemy mieli więcej czasu na... No wiesz.

Z radosnym niedowierzaniem uniósł brwi.

- A możesz? Bałem się, że cię boli.

- Skąd! Jestem w świetnej formie. - Wskoczyła z łóżka.

Ogarnął wymownym spojrzeniem jej sylwetkę.

- Tak, forma jest świetna... - ocenił.

Spłonila się lekko i podeszła do otwartych drzwi na balkon.

Chase pospieszył za nią.

- Zobacz, przyszły oba - ucieszyła się.

- Są niesamowite - przyznał. - Nigdy w życiu nie widziałem nic równie pięknego... - Leciutko klepnął ją po pupie. - Z wyjątkiem pewnej ślicznotki.

- Chase!

- Cśśś... - Objął ją od tyłu ramionami, przygarnął do siebie i oparł brodę na jej ramieniu. - Zobacz, co dla nas robią.

Jednorożce popisywały się, dosłownie tańcząc na trawie. Wspiwały się na tylne nogi, przebierając przednimi w powietrzu, obiegały się nawzajem dookoła, pocierały szyjami... Wreszcie zakończyły balet, zarżały donośnie i pobiegły w głąb łąki.

- Tak więc legenda zmieniła się w rzeczywistość - podsumował z zadumą Chase. - I będzie rozwijać się dalej.

- Nie, na tym legenda się kończy. Dalej już nic nie ma.

- Jak to nie? Jest następne pokolenie. Odruchowo położyła dłoń na brzuchu. Czy to możliwe, by rosło w niej nowe życie? Czemu nie? Mieli za sobą pracowitą noc...

- Mówiłem o Peggy Sue - zaśmiał się Chase. - Jest żrebna.

Wspaniale, nasze dzieci będą miały się z kim bawić. - Uścisnął ją

czule. - Założę się, że będziemy mieć całą gromadkę. Oczywiście po to, żeby uszczęśliwić twojego ojca.

Odwróciła się przodem do niego i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Dopóki cię nie poznałam, nigdy nie myślałam o macierzyństwie, a teraz wydaje mi się, że nie ma nic ważniejszego na świecie. Czy to nie dziwne?

- Nie. Kiedy spotykasz właściwą osobę, wszystko się zmienia.

Stali boso na dywanie, spleceni w uścisku, pozwalając, by pierwsze promienie wschodzącego słońca delikatnie łaskotały ich nagą skórę. Chase pochylił głowę i pocałował Mallory, wkładając w tę pieśczętę całą duszę.

- Kocham cię. Wniosłaś w moje życie tyle radości. Samą radość... Dzięki tobie uwierzyłem w to, co wydawało mi się kompletnie niemożliwe.

- Mówisz o legendach? Potrząsnął głową.

- Legendy to małe piwo - skwitował po swoim. - Uwierzyłem w miłość. W to, że warto zaryzykować i związać się z kimś tak wyjątkowym jak ty. Na zawsze.

Mallory z błogością oparła głowę na jego ramieniu i razem patrzyli w ślad za oddalającymi się jednorożcami, które nie przestawały figlować, aż wreszcie znikły im z oczu za pasem krzewów osłaniających kotlinkę ze źródłem.

Tak, każde z nich musiało przebyć długą drogę, ale w końcu szczęśliwie zawiodła ich do domu. Teraz w ich sercach mogła bezpiecznie zagościć miłość, wzrastać z każdym dniem i obdarzać ich

swoim błogosławieństwem. Podobnie jak każdego, kto odważył się  
uwierzyć w niemożliwe.

scandalous